

2018

Łodzianie o sobie i mieście



Żywa Kronika Łodzi

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Łodzi

Przygotowanie tekstów do druku Ewa Mec.

Skład komputerowy Piotr Mec.

W tekstach zachowano oryginalną pisownię.

Spis treści

Barbara Czajka Przedmowa	3
Martijn Gerritsen Wspomnienia o mojej pięknej Łodzi	5
Kazimierz Grycner Pamiętnik	6
Zofia Hrdina-Górska Retkińska 8, Karolew	41
Jakub Hubert Przyjechałem do Łodzi z rodziną w 1839 roku...	43
Piotr Mec Jak dziadek przestał być myśliwym	46
Maryla Rynk Kolory moich wspomnień z dzieciństwa	48
Robin Siegwarth Siegwarth / Zyguard w Łodzi	51
Magdalena Walczak Moja Piotrkowska	53

Przedmowa

Rozpędzona codzienność, rozliczne obowiązki, brak wolnego czasu nie ułatwiają powrotów do lat minionych, do wspomnień i dzielenia się nimi, nie tylko z rodziną, z przyjaciółmi. Tym cenniejsze są przedsięwzięcia, których celem jest zachowanie tych wspomnień i poszerzenie grona odbiorców.

Z inicjatywą podzielnia się wspomnieniami o Łodzi wystąpiła Pani Ewa Mec, pracownik Działu Informacji Naukowej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Okazją do zebrania wspomnień była przypadająca w 2018 roku 595. rocznica urodzin Łodzi. Pani Ewa Mec przygotowała regulamin akcji „Łodzianie o sobie i mieście – żywa kronika Łodzi w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej” i zaangażowała się w jej przeprowadzenie.

W wyniku akcji zbierania wspomnień, trwającej od 28 czerwca do 29 lipca 2018 r. napłynęło 8 tekstów. Autorami są trzy kobiety i pięciu mężczyzn. Czterech autorów mieszka w Łodzi, czterech w Warszawie, Niemczech, Holandii i USA. Każda z nadesłanych prac różni się formą i treścią oraz objętością. Łączy je wspólny mianownik – powrót do lat dzieciństwa, młodości, pierwszych lat życia w dorosłości, powrót do ulubionych w Łodzi miejsc. Pomimo upływu lat wspomnienia zawierają również dużą dawkę pozytywnych emocji. Wspomnieniowa akcja stała się również dla niektórych autorów okazją do genealogicznych poszukiwań związanych z przyjazdem i pracą przodków w Łodzi.

Serdecznie dziękując wszystkim autorom za udział w akcji, podzielenie się wspomnieniami, zachęcam do ich lektury. Dziękuję Pani Ewie Mec za inicjatywę oraz przygotowanie tekstów do umieszczenia na stronie internetowej Biblioteki.

Jednocześnie chciałabym zapowiedzieć, że w roku 2019 ponownie Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Marszałka Józefa Piłsudskiego ogłosi drugą edycję akcji „Łodzianie o sobie i mieście – żywa kronika Łodzi w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej”.

Barbara Czajka
Dyrektor

15 października 2018 r.

Martijn Gerritsen

Wspomnienia o mojej pięknej Łodzi

W ubiegłym roku, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, denerwowałem się.

Przyjechałem na początku jesieni, późnym popołudniem.

Wiele o tobie słyszałem – mieście o zranionym, ale nigdy pękniętym sercu!

Wiele o tobie czytałem, o twojej historii, ucisku, odbudowie i radości.

Rankiem ujrzałem cię wyraźnie, pełną czaru, z zapachem świeżego jedzenia na targu w śródmieściu, twoimi ulicami pełnymi sklepów, zabytkowymi kościołami, kamienicami ze szklanymi mozaikami na murach.

Odwiedziłem Łódzkie Getto, twoje serce płakało, a moje pękało...

Tyle mrocznych lat... a jednak w Łodzi wciąż kwitną kwiaty, takie piękne.

Bo ty, pełna ciepła i serdeczności, jesteś miastem przepięknych parków, muzeów, miejskich tramwajów i autobusów.

Wieczorami śmiejesz się z nami, z chłodnymi drinkami na tarasie, w wykwintnych restauracjach z najlepszą polską kuchnią!

Albo przechadzasz się promenadą, z przepysznym polskim pączkiem.

To była miłość od pierwszego wejrzenia, kochana Łodzi, niedługo znów się spotkamy.

Trzymaj się ciepło, ukochana.

(Przekład z języka angielskiego Jacek Chelminiak, Biuro Tłumaczy Przysięgłych „Mentor”)

Kazimierz Grycner

Pamiętnik

piątek, 4 marca 1955

No, nareszcie się urodziłem. Nie wiem czy to był dobry pomysł, okaże się za jakieś 60 lat. Wydostałem się na światło dzienne za piętnaście piąta rano. Mamę zabrano do szpitala wczoraj o 21-ej. Wody płodowe odeszły jej jeszcze w domu. Rodzice mieszkają w Łodzi przy ulicy Liściastej 142. Ulica Liściasta zaczyna się w Radogoszczu i ciągnie się w kierunku Zgierza. To jest właściwie wieś, a nie miasto. Właścicielem tego drewnianego domu jest niejaki Pawlak, który uprawia koło domu ziemniaki. Naokoło są same zaorane pola, ale to przecież obszar administracyjny Łodzi. Pawlakowie zajmują mieszkanie na parterze, a wraz z nimi mieszka ich córeczka albo wnuczka – dziewczynka w wieku szkolnym. Nasze mieszkanie jest na piętrze.

(...)

Mama pracuje w centrum miasta, w Zakładach Pończosznich im. Mariana Buczka przy ulicy Sienkiewicza. To jest w pobliżu ulicy Orlej. Po sąsiedzku z fabryką znajduje się pogotowie ratunkowe, a nieco dalej, przy ulicy Kilińskiego: posterunek milicji.

Poród nie był łatwy. Mama cierpiała przez całą noc, ale znosiła ból po cichu i chwalili ją za to studenci, którzy praktykują na porodówce. Szpital mieści się przy ulicy Łagiewnickiej czyli również w obszarze północnej Łodzi. Ta dzielnica to słynne Bałuty. „Do bałuciorza nie podchodź bez kija i noża, a jak masz kij i nóż, to bałuciorza nie ma już”. Nieładnie o nas mówią, oj nieładnie.

(...)

zima 1955 – 1956

Nadeszły święta Bożego Narodzenia i pojawiła się choinka. Niestety, nie pamiętam jej. Wciąż jeszcze niczego nie pamiętam, a moje wspominki pochodzą wyłącznie z opowiadań Mamy.

W styczniu 1956, gdy w pokoju wciąż jeszcze stała choinka – nagle zgasła żarówka, bo jak zwykle przepalił się bezpiecznik. Mama wyszła na chwilę na korytarz, aby zakręcić nowy drucik (mówiło się „zalicować bezpiecznik”). Zamknęła za sobą drzwi, bo zewsząd leciało zimno, a ja pozostałem w łóżku sam. Miałem już prawie 10 miesięcy i wtedy to po raz pierwszy stanąłem samodzielnie na nogach. Zsunąłem się z łóżka i przemaszerowałem za mamą aż do samych drzwi! Gdy mama je otworzyła i ujrzała

mnie stojącego za progiem, nie mogła wyjść ze zdumienia i do dzisiaj nie rozumiem w jaki sposób zdołałem się zsunąć z łóżka i przejść na własnych nogach przez cały pokój. To był mój pierwszy samodzielny spacer i polubiłem wtedy te piesze wędrówki na całe życie. Od tamtego czasu chodzę bardzo dużo i przy każdej okazji – a ulicę Piotrkowską pokonałem pieszo chyba setki razy.

W lutym nastał silny mróz i zrobiła się ostra zima. W mieszkaniu przy Liściastej było dla nas za zimno, więc dziadkowie zabrali Mamę i mnie do siebie na Klonową. Mieszkaliśmy u dziadków przez tydzień. Dziadek ma na imię Zygmunt, a babka Stefania. Mieszkają na Ba-łutach przy ulicy Klonowej 19, m. 5.

(...)

jesień 1956

Dziadkowie doszli do wniosku, że mama powinna pójść do pracy i zadeklarowali, że wezmą mnie do siebie. Tak się też stało: zamieszkałem z dziadkami przy Klonowej i odtąd na co dzień opiekowała się mną babka. Miałem wówczas 1,5 roku. Z tego okresu (trwającego od jesieni 1956 do lata 1958, a więc prawie 2 lata) pochodzą moje pierwsze wspomnienia, najstarsze zachowane w pamięci obrazy.

Mama z powrotem podjęła pracę w Zakładach Pończosznicy. Dojazd do pracy był bardzo daleki i niemożliwością było tarabanie mnie ze sobą, gdyby miała odwozić mnie do żłobka. Od domu do przystanku szło się ulicą Stalingradzką ze 2 kilometry, a potem jechało się tramwajem z Helenówka do śródmieścia z jedną lub dwiema przesiadkami. Mama męczyła się z tymi trudnymi dojazdami do pracy, ale po jakimś czasie to się zmieniło, bo rodzice przeprowadzili się z ulicy Liściastej na Kilińskiego. Nowe lokum położone było w samym centrum miasta. Budynek ten znajduje się w zwartej zabudowie kamienic, w miejscu przewężenia jezdni, na odcinku między Armią Czerwoną a 8 Marca, niedaleko kina 1 Maja. Dziadek Zygmunt dowiedział się, że zwalnia się ten lokal, bo chyba mieszkał tam wcześniej jego kolega z piekarni nazwiskiem Kołęda albo Kolenda.

1957

A więc rodzice mieszkali przy Kilińskiego, a ja u dziadków przy Klonowej. Ale na Kilińskiego bywałem również i może stamtąd pochodzi moje pierwsze, najstarsze wspomnienie. To była mała dziupla ulokowana pomiędzy piekarnią a świetlicą wspomnianego posterunku milicji. Ściana od strony piekarni była ciągle ciepła, a w milicyjnej świetlicy odbywały się czasem jakieś bankiety. Jednego razu Mama słyszała przez ścianę jak balują, tańczą i bawią się. Aż ją ponosiło, bo też chciałyby się pobawić, potańczyć i poużywać towarzystwa. Będąc jeszcze panienką i mieszkając na wsi (którą opuściła jako 17-letnia dziewczuszka), chodziła czasem na zabawy i bardzo je lubiła – jak każda młoda dziewczyna. Aż tu z chwilą zamążpójścia rozrywki urwały jej

się nagle i brutalnie, a zaczęły się trudne obowiązki, do wykonywania których Mama nie była przygotowana.

Pamiętam tę dziuplę przy Kilińskiego i tę gorącą ścianę piekarni. Może jest to moje najstarsze wspomnienie – a może wcześniejszymi są te z Klonowej? Pewnego razu odbywała się u dziadków jakaś uroczystość. Na okrągłym stole był biały obrus, wódka i zakąski. Może jacyś goście, ale chyba niezbyt liczni, bo ileż osób mogło się zmieścić w tak małym pokoju, który był całym mieszkaniem dziadków? Dziadek Zygmunt trzymał mnie na rękach i byłem dla wszystkich oczkiem w głowie. Dziadka ogarnęła fantazja i począł nauczać mnie, że wódka jest „be” i dla przykładu kazał mi strącić ze stołu kieliszek. Uczyniłem to ochoczo, a babka oczywiście urządziła dziadkowi awanturę. Pamiętam jak machnąłem ten kieliszek z wódką na podłogę. Nie wiem czy miałem wtedy ze 2 latka, czy więcej – a może mniej? Dziadek bardzo mnie kochał i ja jego też. Dziadek palił papierosy posługując się szklaną „dulawką”, a na kieliszki mówił „kiliszki”.

Innym razem dziadek i babka gotowali żywego raka. Raki chyba zawsze gotuje się na żywca, bo jak tu uśmiercić takiego raka przed gotowaniem? Gdy woda w garnku staje się gorąca, raki bardzo piszczą i pisk ten słychać. Pamiętam jak dziadek albo babka trzymając mnie na rękach pochylili mnie nad tym dużym, odkrytym garnkiem i pokazali mi tego raka leżącego pod wodą na dnie garnka, który stał na ogniu. Rak piszczał. Chyba się bardzo przejąłem, skoro ten obraz i to piszczenie utkwilo mi w pamięci na całe życie. Jednak zapewne nie mogłem jeszcze rozumieć na czym polega umieranie raka w gotującej się wodzie.

Mieszkanie dziadków mieściło się na I piętrze, w końcu ciemnego korytarza. Zaraz z brzegu było po lewej mieszkanie Józwiaków, potem nasze, a tuż obok zamykały ten wąski korytarz drzwi do mieszkania „pani gospodyni”. To była niska i drobna, ale zawsze pogodna starowinka, która przed wojną była właścicielką tej kamienicy. Trzeba pamiętać, że były to lata burzliwych przemian społecznych, lata szalejącej komuny, okres kilkunastu powojennych lat, w którym przebywały i umierały w więzieniach dziesiątki tysięcy polskich patriotów, okres Poznańskiego Czerwca i październik 1956, gdy Władysław Gomułka był przez chwilę w oczach Polaków autentycznym bohaterem – dopóki po wizycie w Moskwie nie powrócił do kraju zastraszony przez Nikitę Chruszczowa i odtąd posłusznie wykonywał instrukcje Moskwy, a o niepodległości Polski nie było już mowy.

Wyobrażam sobie, że w drodze nacjonalizacji odebrano Pani Gospodyni tę kamienicę, która przestała być kamienicą czynszową, a zaczęła być komunalną i należącą do państwa. Natomiast jej była właścicielka pozostała w jednym z mieszkań jako zwykła lokatorka.

Zdarzało się, że czasem Pani Gospodyni się mną opiekowała. Jej mieszkanie było lepsze od naszego. Nasze to była tylko jedna izba, którą przegrodzono w ten sposób, że powstała część kuchenna i „garderoba” czyli rupieciarnia pełna butów (babka miała obsesję na punkcie gromadzenia obuwia, bo widocznie najpiękniejsze lata swojego

życia musiała przedreptać na boso). Natomiast mieszkanie gospodyni składało się z dwóch izb: obszernej kuchni, w której toczyło się codzienne życie – oraz zaciemnionej, kameralnej i tajemniczej sypialni. W kuchni znajdowało się małe okno, które wychodziło na jakiś zdziczały sad lub ogród sąsiedniej posesji. Wspinałem się po krzesło na parapet i zawsze mnie ten obraz za oknem ciekawił. Gospodyni bardzo mnie pilnowała abym nie wypadł i bardzo mnie przestrzegała przed tymi zakusami, mówiąc że tam za oknem jest myśliwy z fuzją i zaraz mnie zastrzeli. Gdy gospodyni na chwilę wyszła (może tylko po to, aby coś powiedzieć babce przez drzwi), ułożyłem się na wznak na środku podłogi, rozkrzyżowałem ręce i udawałem, że zastrzelono mnie z tej fuzji, bo nie posłuchałem Pani Gospodyni i znowu wdrapałem się na okno. Staruszka ujrawszy mnie leżącego na podłodze zaczęła lamentować „ojojjoj, zastrzelono naszego Kazia!”. Podjęła moją grę i udała, że wierzy w moją inscenizację. To była przemiła, łagodna i inteligentna kobieta – z dużym poczuciem humoru i wielką kulturą osobistą.

Przy kamienicy było klepiskowate podwórko, a naprzeciw stał parterowy, drewniany domek, w którym mieszkał „Śmigiel”. Ten Śmigiel miał telewizor i ja tam czasem bywałem. Jednego razu u dziadków byli goście i jakaś impreza, a ja oglądałem u Śmigla sensacyjny film pt. ‘Człowiek do wynajęcia’. Bardzo się tam okładano pięściami, a ten „człowiek do wynajęcia” był niezniszczalny jak późniejszy James Bond. W pewnym momencie przyleciałem zaaferowany do domu i powtarzałem z przejęciem: „człowiek do wynajęcia, człowiek do wynajęcia...!”. Spojrzeli na mnie z zainteresowaniem i zapytali: „do wynajęcia? – ale do czego?”. Jak to do czego: „do bicia!”.

Wzbudziłem powszechną wesołość, bo byłem po prostu słodki. Ale to nie mógł być rok 1957 – musiałem być ze trzy lata starszy.

1958

Rodzice mieszkali przy Kilińskiego chyba ze 2 lata, aż dziadek znalazł dla nas nowe lokum. To było poddasze, również bez żadnych wygod, zlokalizowane na pograniczu Chojen i Dąbrowy. Doskonale pamiętam to poddasze w wolnostojącym domku przy ulicy Michałowskiego 4, bo mieszkaliśmy tam od lata 1958 do lata 1966 czyli przez 8 lat. Mama mówi, że na parterze mieszkała stara Litwinka, której władza ludowa przydzieliła ten dom wraz ze wspaniałym ogrodem w drodze rekompensaty za utracone mienie. Ja tej Litwinki w ogóle nie pamiętam, ale to dlatego, że wkrótce po naszym osiedleniu się przeniesiono ją do domu starców. Litwinka hodowała białe chryzantemy w mini-szklarni zlokalizowanej koło domu oraz prowadziła w swoim mieszkaniu jakieś praktyki akuszerskie. Usuwała ciążę młodym dziewczętom czy coś w tym rodzaju. Któregoś razu została za to dotkliwie pobita przez rodziców jednej z takich niedoszłych matek. A może mieścił się tam również dom schadzek?

Na parterze mieszkali Słowikowscy. Było to przyzwoite małżeństwo z dwojgiem dzieci Mariolą i Wojtkiem, którzy oboje byli znacznie starsi ode mnie. Jednak im więcej dorastałem, tym bardziej Wojtek stawał się moim kolegą. (...)

Pan Słowikowski pracował chyba w jakichś zakładach dziewiarskich i może był tam nawet jakimś kierownikiem. Pani Słowikowska prowadziła zaś dziewiarstwo chałupnicze i ciągle przesuwała hałaśliwym wrzecionem tkackim po swojej maszynie w tę i z powrotem.

Po opuszczeniu mieszkania przez Litwinkę wprowadził się tam pan Bolesław Bednarek ze swoją konkubiną Teresą. Był to żołnierz spod Monte Casino. Wtedy nie wiedziałem jeszcze co to znaczy. Dopiero po latach zdałem sobie sprawę, że tuż koło mnie zamieszkiwał wielki bohater. Władza ludowa w żaden sposób go nie uhonorowała, bo pan Bednarek był żołnierzem armii Andersa czyli pochodził z „niewłaściwej” armii i niewłaściwej opcji politycznej. Pan Bolek utrzymywał się jeżdżąc na taksówce.

(...)

Bednarek w końcu przepędził Teresę, która była prostytutką i ożenił się z panią Krysią, która była rozwódką i miała córkę Danusię, nieco młodszą ode mnie. To była porządna i energiczna kobieta, która stworzyła bohaterowi spod Monte Casino normalny dom.

(...)

1960

A więc mieszkaliśmy na poddaszu przy ulicy Michałowskiego 4. Było to pojedyncze pomieszczenie z dwoma małutkimi okienkami i bez żadnych wygod. W tym pomieszczeniu przeznaczonym na strych zainstalowano piec węglowy, a elektrykę podciągnięto z korytarza. Wodę nosiło się wiadrami z hydrantu znajdującego się na podwórku, a pomyje wylewano w krzaki koło domu.

Na poddasze wiodły bardzo wysokie, wąskie i strome drewniane schody, pewnie podobne do tych na Liściastej.

(...)

Sąsiad z naprzeciwka był tajnym policjantem. Nosił przy sobie kajdanki i pewnie również rewolwer. Kiedyś na jakiejś uroczystości urządzonej w naszym „mieszkaniu”, bawiłem się jego kajdankami i założyłem je Mamie na ręce. Sąsiad musiał iść do domu po kluczyk, aby Mamę rozkuć.

(...)

Tego sąsiada (pamiętam jego nazwisko, ale nie podaję) dopadnięto kiedyś w ciemnym zaułku niedaleko domu i znacznie poturbowano. Dobrze, że w ogóle uszedł z życiem.

(...)

Potem na miejsce tej rodziny wprowadziła się inna, a ten drugi sąsiad też był milicjantem. Tylko że ten drugi był takim „jawnym”, umundurowanym. Miał on jakieś kłopoty ze szczęką, która wypadła mu z zawiasów. Zdarzyło się raz czy dwa, że ziewnął za szeroko, szczeka mu wypadła i gwałtem trzeba było wzywać pogotowie. Zabierali go wtedy na ostry dyżur i wstawiali mu tę szczękę z powrotem.

Tym sąsiadom (którzy mieli córkę Alicję nieco ode mnie młodszą) urodziła się druga córka imieniem Marysia. Ala nosiła siostrzyczkę na rękach i opiekowała się nią po matczynemu. Któregoś razu spacerowała z Marysią w miejscu, gdzie żwirowa, kilkudziesięciometrowa, ślepa uliczka Michałowskiego dochodziła do brukowanej ulicy Przędzalnianej. Chodnikiem przechodziły tamtędy jakieś osoby. Zapytano Alę: „a czyje to dziecko?”. „Moje!” – odparła 7-letnia Alicja chowając Marysię zazdrośnie przed wzrokiem intruzów. Spacerowicze wybuchnęli śmiechem, bo jeszcze nie widzieli, żeby takie dziecko miało dziecko.

W drugim z wolnostojących przy uliczce Michałowskiego domów mieszkała rodzina pewnego wojskowego. Był to wysoki rangą oficer Wojska Polskiego, a jego syn Piotrek był w naszej podwórkowej paczce arystokratą i zajmował uprzywilejowaną pozycję. Jednak rzadko do nas wychodził. Stała grupa późnowieczornych włóczykijów składała się z Wojtka, Marka, Sylwka, Pawła i mnie. Paweł i Wojtek byli w jednym wieku. Paweł mieszkał w 2-piętrowej kamienicy na rogu Michałowskiego i Przędzalnianej. Stwierdzenie „na rogu” brzmi tu dziwnie, bowiem uliczka Michałowskiego to był tylko krótki kawałek żwirowego „gościńca”. Sama zaś Przędzalniana była wybrukowana kocimi łbami i na tym odcinku bardzo mało uczęszczana. Uliczka Michałowskiego liczyła nie więcej niż ze 60 metrów – jeśli porównać to z dystansem sprinterskim, jaki w 10 lat później zaliczałem wraz z kolegami na boisku Technikum Łączności Nr 1 w Alejach Politechniki w pobliżu Ronda Titowa.

Jedynymi pojazdami, jakie mogły się wtedy poruszać po Michałowskiego (imienia polskiego archeologa zasłużonego wykopaliskami w Egipcie) – były rowery. Był też i wóz konny pewnego mleczarza z Wiskitna, który w dużych blaszanych bańkach przywoził mleko. Uliczka Michałowskiego przestała istnieć chyba na przełomie lat 80-tych i 90-tych, kiedy to ulicę Przędzalnianą zastąpiła na tym odcinku arteria Promińskiego (później Rydza Śmigłego) czyli trasa szybkiego ruchu. A kamienica, w której mieszkał Paweł z siostrami Haliną i Wacką, została rozebrana znacznie wcześniej, bo stała akurat pośrodku tej projektowanej arterii. Domek, w którym mieszkałem, ostał się natomiast jako relikwiny minionej epoki, chociaż wszystkie inne otaczające go domki, ogrody i sady przestały istnieć. A ja pamiętam nawet i latarnie gazowe, które stały przy ulicy Przędzalnianej i mam nadzieję, że nie było to przywidzenie. Pamiętam człowieka, który chodził codziennie z długim drągiem, zakończonym metalowym kapturkiem i przygaszał te latarnie nakładając kapturek na płomień. Wydaje mi się to dziwne i niemożliwe, ale tak zapamiętałem. Czy to znaczy, że gaz ulatniał się po zagaszeniu przez cały dzień? I jak go wieczorem zapalano? Chodził człowiek z zapałkami i drabiną? Tego niestety nie zapamiętałem. I po co by

wygaszano na dzień te latarnie, skoro gaz i tak miałyby się ulatniać? Tutaj stanowczo coś mi się w moich wspomnieniach nie zgadza i być może źle mi się to wszystko zapamiętało – może zmiksowało mi się ze scenami z jakiegoś starego filmu.

Do naszej szajki należały także i dziewczyny. Były to wspomniane wyżej siostry Pawła: Halina i Wacka. Piotrek i Wacka byli starsi nawet i od Wojtka i Pawła, byli prawie dorośli – byli „na wydaniu”. Stąd też nie włączyli się nocami z takimi smarkaczami jak my. Nie włączyła się także i siostra Wojtka imieniem Mariola. To była dumna panienska, która nie zadawała się z takimi ulicznikami jak my. Sylwek też miał siostrę, rocznik około 1960. Ta z kolei była za młoda, aby należeć do naszej paczki. Również za młoda była moja siostra, która urodziła się dopiero w roku 1961 czyli na 5 lat przed naszą przeprowadzką z Michałowskiego na Kraszewskiego. To samo dotyczyło Ali (tej, która matkowała swej siostrzyczce Marysi), chociaż była ona prawie w moim wieku. Marek, Sylwek i ja byliśmy rówieśnikami – wszyscy chyba tego samego rocznika 1955. „Mille neuf cents cinquante cinque” – to był rocznik!

Przypominam sobie dziewczynę starszą ode mnie, ale młodszą od Wojtka, która najwięcej się z nami włączyła i najmniej dbała o swoją reputację. Była to Irka mieszkająca w jednym z parterowych domków po drugiej stronie ulicy Przędzalnianej. Ulica była na tym odcinku trochę pochyła – topniejące śniegi warko spływały rynsztokami w stronę ulicy Zbaraskiej. Obecnie w miejscu gdzie mieszkała Irka znajduje się internat, bloki mieszkalne i uliczka Rodakowskiego, a wówczas zaczynał się tam polny szlak naszych wypraw ku torom kolejowym: wiejski gościniec o długości około 2 km wiodący między łąkami zbóż, łąkami i gliniankami – obok dzikiego wysypiska śmieci oraz koło założonej w międzyczasie cegielni.

Irka rej wodziła takimi bajtlami jak Marek, Sylwek i ja, i dobrze że nie doszło wówczas do żadnej deprawacji. Spotkałem ją potem gdzieś po 10 latach w swoim Technikum Łączności, do którego uczęszczałem w latach 1970 – 1975. Irka chodziła do starszej klasy, a może do mieszczącej się w tym samym budynku szkoły wieczorowej.

W innym domku po drugiej stronie ulicy Przędzalnianej mieszkał na wprost wylotu uliczki Michałowskiego Krzysiek. Był w wieku Wojtka i Pawła, a może trochę młodszy. Krzysiek był moim dobrym kolegą, był moim najlepszym przyjacielem z tamtych lat. Starannie wychowywany i zadbany, otoczony troskliwą opieką rodziców i dziadka – nie włączył się z nami po nocach i w ogóle nie zadawał się z podwórkowymi chłopakami. Ja byłem chyba wyjątkiem. Z Krzyśkiem spotykałem się tylko w dzień, za to spotykałem się dużo i bywałem u niego w domu, bo nieraz mnie zapraszano. Jego rodzice litowali się troszkę nad takim zasmarkańcem i umorusańcem jak ja, stąd też traktowali mnie ciepło i troskliwie. Ojciec Krzyśka prowadził zakład fryzjerski przy ulicy Przędzalnianej – ale daleko od nas, kawałek za skrzyżowaniem z ulicą Przybyszewskiego. A matka Krzyśka prowadziła dom. Dziadek Krzyśka był ciągle na miejscu, dbał o płoty, furtkę, ogródek za domkiem, dokonywał wszelkich napraw, malował i majsterkował. Terenu tej bardzo zadbanej „posiadłości” państwa Jurek pilnował groźny wilczur, który mnie nie lubił, którego się bałem i który pogryzł mnie jednego razu dotkliwie, gdy nieupilnowany rzucił się na mnie przez uchyloną furtkę,

obalił mnie na ziemię i omal nie zagryzł na śmierć. Może sam sobie byłem winien, bo chyba drażniłem go przez siatkę jak lwa, psikając mu w pysk ze śmigus-dyngusowego jajka, a on ujadął wściekle i poprzysiągł sobie w swojej psiej duszy zemstę. Nie rozumiał dojrzały wilczur, że ja jestem tylko nic nie rozumiejącym 6-letnim dzieckiem ulicy. Rodzice Krzyśka szybko odciągnęli wilczura ode mnie, zabrali mnie do domu i troskliwie opatrzyli. A gdy szedłem do Pierwszej Komunii Świętej (parafia Świętej Anny), to ojciec Krzyśka bez konsultacji z moimi rodzicami ufryzował mnie w atrakcyjne loki, które utrwaliły się na fotografiach. Poszedłem wtedy do nich, aby zaprosić ich na komunijny poczęstunek, a oni ciach: posadzili mnie na krześle, ojciec Krzyśka wyciągnął swoją fryzjerską lokówkę na prąd i zakręcił mi te loki na gorąco.

1962 – 1963

Musiałem chodzić na religię, której lekcje odbywały się w salach katechetycznych przy kościele Św. Anny, znajdującym się przy ulicy bodajże Wandy, tuż w pobliżu skrzyżowania ulicy Przędzalnianej z Przybyszewskiego. Dziś już uliczka Wandy nie istnieje, a kościół Św. Anny znalazł się bezpośrednio przy zbudowanej tam arterii Rydza Śmigłego. Zimą jako 7-8-letnie dziecko brnąłem sam na religię ulicą Przędzalnianą na odcinku między Dąbrowskiego a Przybyszewskiego w śniegu głębokim po kolana. Mieszkaliśmy na poddaszu bez wody i kanalizacji, ale to wszystko było dla mnie normalne i żadnego dyskomfortu z tego powodu nie odczuwałem. Przecież nie znałem innego życia: w normalnym mieszkaniu z łazienką i centralnym ogrzewaniem. Lekcje odrabiałem na wyściełanym krześle, bo stołu praktycznie też nie było.

(...)

Jednego razu szedłem z ojcem do sklepiku nabiałowego „U Kota” (Kot to nazwisko właścicieli mieszkających obecnie zdaje się w Australii) i znalazłem sobie po drodze fajnie ukształtowany patyk. Był to kawałek jakiejś uschniętej gałęzi, która świetnie układała się w dłoni i imitowała pistolet albo raczej mały, krótki karabinek automatyczny. Ten patyk chciałem zachować na wieczorne strzelaniny z Markiem i Sylwkiem, ale gdy znaleźliśmy się z ojcem na wysokości przyjemnie ocienionego skweru na rogu ulicy Podgórznej i Dąbrowskiego, to ojciec kazał mi ten patyk wyrzucić. Bardzo żałowałem, ale musiałem posłuchać ojca i moją wspaniałą broń wyrzuciłem. Próbowałem potem ten „karabinek” odnaleźć, ale szukaj wiatru w polu: na tym trawniku już go nie było. Może przygarnął go inny „podwórkowy bojownik”?

Innym razem mama wysłała mnie do Kota po śmietaną. Dostałem małą butelkę od śmietany (do napełnienia łyżką wazową ze sklepowego baniaka) oraz jakąś monetę – może 2 złote. Monetę wrzuciłem do butelki, a w sklepie podałem butelkę pani Kotowej prosząc „śmietany za 2 złote”. Pani Kotowa napełniła butelkę śmietaną do odpowiedniego poziomu, a gdy przyszło do płacenia to przypomniałem sobie, że pieniądze są na dnie tej butelki! Aj-waj! Dalej to już tylko pamiętam jak pani Kotowa

mozoliła się, aby wąskim nożem tę monetę jakoś z dna butelki wydobyć. To się chyba nie udało i być może musiała wylać śmietanę wraz z monetą – a może zobowiązała mnie, abym zaniósł śmietanę do domu i zaraz jej te 2 złote przyniósł?

Chyba mieszkaliśmy jeszcze przy Michałowskiego, gdy wybrałem się z Sylwkiem na długą wycieczkę. Poszliśmy do torów kolejowych, a potem wzdłuż torów w kierunku na prawo od ulicy Dąbrowskiego. To ja wymyśliłem tę wycieczkę. Założenie było takie, żeby dojść do znajomego mi miejsca, gdzie pewne uliczki Dąbrowy dochodziły do tychże torów kolejowych. Tymi to uliczkami mieliśmy powrócić do ulicy Dąbrowskiego i do domu.

Szliśmy więc wzdłuż tych torów i szliśmy, a znajomych uliczek Dąbrowy nie było. Sylwek okazywał coraz większy sceptycyzm i coraz bardziej nalegał, aby wrócić do domu tą samą drogą, którą przyszlismy. Ale ja ciągnąłem go dalej, w przekonaniu że nieznane i obce nam tereny wkrótce się skończą, i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawią się nagle znajome uliczki, a tym samym znajdziemy się znów w pobliżu domu. Tymczasem cywilizowane otoczenie się skończyło, a przed nami wyłoniły się pola, ciągnące się daleko, daleko, hen po horyzont. Teren nieco opadał, świeciło ładne słońce i widoczność była doskonała. Ujrzawszy to Sylwek energicznie zawrócił, powiedział coś brzydkiego i stanowczo stwierdził, że on wraca. A ja nadal wierzyłem, że idziemy w dobrą stronę i nie wyobrażałem sobie, że może być inaczej. To była z mojej strony niesłychana naiwność, to była wręcz głupota. Próbowałem po raz kolejny przekonać Sylwka, że cel jest już bliski i abyśmy nadal szli wzdłuż tych torów. Tylko desperacji i rozsądkowi Sylwka zawdzięczać należy, że nie doszliśmy pieszo gdzieś do Kuluszek albo przynajmniej do Andrzejowa. Sylwek się zaparł i nie było rady: musiałem wracać i ja. Droga powrotna była bardzo długa – bo przecież wiadomo jaki kawał przeszliśmy. To właśnie dlatego nie chciałem wracać: bo wiedziałem jaki to kawał. To tak jakby Krzysztof Kolumb opłynąwszy Ziemię i nie natrafiwszy na wybrzeże Hiszpanii, tylko na jakąś nieznaną wyspę, chciał płynąć jeszcze kawałek dalej, będąc przekonanym, że znajduje się gdzieś blisko wybrzeży Europy – a przecież wiedział, że powrót dookoła kuli ziemskiej graniczy z samobójstwem.

No i wróciliśmy. Po drodze napotkaliśmy rozgałęzienie torowiska, które poprzednio przeoczyliśmy – na które po prostu nie zwróciliśmy uwagi. Gdybyśmy wtedy zastanowili się przez chwilę i poszli tą drugą nitką, to doszlibyśmy tak jak chciałem: do ulicy Gabrieli Zapolskiej i dalej do ulicy Dąbrowskiego. A zmyliwszy drogę zmierzaliśmy jak się zdaje w stronę Olechowa i może nawet znajdowaliśmy się już gdzieś na wysokości Młynka (tj. na wysokości ulicy Młynek prowadzącej w stronę Olechowa).

A więc zabłądziliśmy, a przytomność umysłu Sylwka uratowała nas przed całodzienną tułaczką. Wycieczka ta i tak zajęła nam chyba z pół dnia i wryła się w pamięć na

zawsze. Sylwek został galwanizykiem i popadł zdaje się w alkoholizm; zmarł w roku 2012 w wieku 57 lat.

1965

Uczęszczałem do Szkoły Podstawowej nr 83 im. Stanisława Jachowicza przy ulicy Podmiejskiej 21. Do szkoły miałem bardzo daleko, jak na 7-11 -letnie dziecko. Od Michałowskiego do rogu Przędzalnianej i Dąbrowskiego to była fraszka, bo teren ten był moją „gubernią” – ale dalej: ulicą Dąbrowskiego do Kilińskiego, przez ruchliwe skrzyżowanie, potem do Podmiejskiej i Podmiejską do Jachowicza – to już nie była fraszka. Trasę tę pokonywałem zupełnie sam, bo nikt mnie nie odprowadzał. Spotykałem co najwyżej po drodze kolegów, którzy mieszkali przy Dąbrowskiego: Firka, Jaszczyńskiego, Przywojskiego... Mieszkały też w pobliżu i dziewczęta (Danusia Domańska, Agnieszka Bossak, Basia Robak, Iwona Grabowska, Ania Łuszczynska, Ania Janic...) – ale chłopcy z pierwszych klas szkoły podstawowej nie prowadzili się z dziewczętami, bo byli na to za nieśmiali, a poza tym zaraz by ich jacyś zazdrośnicy zaczęli pokazywać palcami i gwizdać: „uuu... podrywa...!” itp. Nikt mnie nie odprowadzał, bo Mama była zatyraną prądką z Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego imienia Feliksa Dzierżyńskiego, która oprócz mnie miała na głowie jeszcze moją o 6 lat młodszą siostrę – a ojciec był niestroniącym od alkoholu piekarzem i lekkoduchem, z którego Mama nie miała żadnego pożytku (rodzice rozwiedli się w roku 1965 gdy miałem 10 lat).

Byłem już w IV klasie i uczyłem się bardzo dobrze, należałem do prymusów. Języka polskiego nauczała nas początkowo pani Zofia Koprowska, a później pani Krystyna Bondarenko. I pewnego jesiennego dnia roku 1965 pani zadała pracę domową, którą miała być odmiana zwrotu „złota jesień” przez przypadki. A więc trzeba było napisać w mianowniku „złota jesień”, w dopełniaczu „złotej jesieni”, w celowniku też „złotej jesieni” i tak dalej. Najciekawszy był przypadek siódmy czyli wołacz. Ja nie miałem z tym żadnego problemu, bo byłem bardzo odcytany i do tego posiadałem od najmłodszych lat „zacięcie pisarskie”. Przypadek wołacza brzmiał „o złota jesieni!”. Napisałem to i wiedziałem, że „reszta świata” będzie miała z tym problem. Sprawdziłem to najpierw na własnych rodzicach. Mama chyba w ogóle nie wiedziała o co chodzi, a ojciec (który był tego dnia najwidoczniej w bardzo dobrym humorze) chodził po mieszkaniu (tj. po tej naszej ciemnej i ciasnej norze na poddaszu) i wykrzykiwał z coraz większym animuszem: „o, złota jesień! o, złota jesień!...”. Prawidłowej formy „o złota jesieni” moi rodzice oczywiście nie znali i upewniłem się wtedy, że na całej tutejszej szerokości geograficznej znam ją tylko ja.

No i rzeczywiście. Następnego dnia w szkole okazało się, że nikt poza mną nie napisał tego wołacza poprawnie. Jacek Bartyzel (z którym siedziałem w jednej ławce i który uchodził za „alfę i omegę”), zapytany przez panią Koprowską odpowiedział cedząc słowa i akcentując ostatnią sylabę: „o złota jesie - n i o !”. To było oczywiście źle i dopiero wówczas pani Koprowska zapytała mnie.

Jacek Bartyzel wyrósł na teatrologa, a potem przemienił się w politologa i felietonistę patriotyczno-katolickiego pisma 'Nasz Dziennik' (chwała mu za to). Jacek Bartyzel był w stanie wojennym internowany i jego nazwisko znalazło się na zaprezentowanej w telewizji liście internowanych tuż obok nazwiska I Sekretarza PZPR Edwarda Gierka! Byłem w szoku, gdy to ujrzałem (a mieszkalem już wówczas w Warszawie przy ulicy Hożej 25 – w jednej z tych posesji, o których zrobiło się głośno w roku bodajże 2017, w związku z aferą dzikiej reprivatyzacji i ustaleniami Komisji Reprivatyzacyjnej Patryka Jaki'ego).

Jacek Bartyzel był na przełomie lat 70-tych i 80-tych działaczem Ruchu Młodej Polski, która była solą w oku ówczesnej władzy i stąd to internowanie.

Jacek Bartyzel poznał na studiach pewną Małgorzatę, z którą się pobrał, założył rodzinę i miał dzieci. Jego małżonka Małgorzata Bartyzel została posłanką na Sejm i trzymała się w ugrupowaniu odszczepionym od PiS, a prowadzonym przez posła Marka Jurka.

PS. Posłanka Małgorzata Bartyzel zmarła 24 lipca 2016 roku w wieku 60 lat. Jacek Bartyzel był w pierwszych latach szkoły podstawowej moim przyjacielem. Potem się przeprowadził, zmienił szkołę i straciliśmy kontakt. Ale czytałem czasem jego felietony polityczne.

(...)

sobota, 15 stycznia 1966

Po lekcjach Jacek Bartyzel zabrał mnie do siebie. Jeszcze nigdy u niego nie byłem, a zapraszał mnie już od jakiegoś czasu. (PS. Jacek Bartyzel mieszkał bardzo blisko naszej szkoły – nie to co ja. Ta ulica dochodziła do Rzgowskiej i nazywała się chyba Łukasiewskiego). Mieszkają w blokach i mają bardzo ładne, 2-pokojowe mieszkanie z kuchnią. Jego mama poczęstowała mnie jabłkiem i tortem urodzinowym, bo jutro są jego urodziny. Bartyzel skończy jutro 10 lat, jestem więc od niego o rok starszy. (...)

niedziela, 16 stycznia 1966

Rano poszedłem do kościoła. Pierwszy raz od kilku miesięcy. A po kościele poszedłem z tatą do kina 'Włókniarza' na ulicy Próchnika na film pt. 'Syn kapitana Bloodovea'. Film był ładny, a w domu było co opowiadać. (PS. Chodziło chyba o film 'Syn kapitana Bloode'a').

(...)

wtorek, 18 stycznia 1966

Gdy szłem do szkoły, spotkałem Remigiusza Ł. i Andrzeja K. Remigiusz Ł. kupił 5 paczek kapiszonów, a Andrzej K. 3 paczki kapiszonów. Remigiusz dał mi jedną paczkę. Gdy zaszliśmy do szkoły, zaczęliśmy strzelać z kapiszonów. Ale mało ich zużyliśmy. Resztę zostawiliśmy na lekcję. Na lekcji jeden chłopiec (Zbyszek G.) zaczął strzelać w obecności pani z kapiszonów. Dostał je od Remigiusza. Andrzej K. też strzelił, ale głośniej. Pani dostała się do centrum sprawy i podejrzenie przeszło na Włodzimierza Ś., który był pod ławką. Włodzimierz Ś. zaczął się zapierać, że to nie on. Pani zbadała sprawę lepiej i wyszło na wierzch, że to Andrzej K.

Andrzej K. i Włodzimierz Ś. dostali uwagi do dzienniczka, a Remigiusz Ł. poszedł do domu po rodziców. Ja wprawdzie nie strzelałem, ale za to w domu wystrzelałem się do woli.

Gdy wracałem ze szkoły, poszedłem do fryzjera. Pierwszy raz od kilku tygodni. Tak bardzo nie chciałem, ale musiałem. Trudno, innym razem zostanę „Beatlesem”.

(...)

środa, 19 stycznia 1966

Zamiast ostatniej lekcji poszliśmy do klasy III. Tam jeden pan wyświetlał z projektora filmy. Jeden był o górach, a drugi był rysunkowy, bardzo śmieszny. Gdy ześmy wracali, spadł ze stolika nadajnik, z którego wydobywa się głos do filmu. Byłem blisko nadajnika, więc wszyscy zaczęli krzyżeć, że to ja go zrzuciłem. Powiedziałem, że to nie ja i uciekłem. Nikt mnie nie gonił, bo nadajnik spadł sam i na szczęście nic się nie popsuło.

czwartek, 20 stycznia 1966

Wypożyczyłem książkę, na którą długo polowałem. Tytuł książki: ‘Pięciu braci Li’.

Wyszłem z klasy po skończonych lekcjach. W szatni nie było mojego palta. Gdy wszyscy z naszej klasy wyszli, zacząłem generalne szukanie. Adam D. i Andrzej M. byli w szatni, bo też mieli wypożyczać książki i czekali na mnie. Był jeszcze Włodzimierz Ś.; on wszędzie chodzi ze mną. Mojego palta jednak nie było. Pani bibliotekarka wiedziała już, że mojego palta nie ma. Poszedłem do biblioteki. Pani bibliotekarce zginęła z kolei moja karta wypożyczeń. Powiedziałem na głos, że będę musiał trochę poczekać, bo karta zginęła i palto zginęło... Pani bibliotekarka zdziwiła się, że palto się jeszcze nie odnalazło. Doradziła mi iść na świetlicę, może tam się palto znajdzie. W szkole miała lekcję tylko klasa III. W szatni wisiały już tylko ich palta. Na świetlicy mojego palta nie było. Pani Koprowska powiedziała, że na pewno ktoś z klasy III pomylił się i zabrał moje palto zamiast swojego. Trzecia klasa już wyszła. Moi koledzy

poszli do domu. Został tylko Włodzimierz Ś. Poszłem z nim do szatni. Po drodze spotkaliśmy woźną. Powiedziała, że jeden chłopiec z klasy III zamienił palta i przed chwilą odmienił. Poszłem do szatni. Zaiste wisiało tam moje palto! Jedyne w całej szatni!

Pani bibliotekarka znalazła moją kartę, wypożyczyła mi książki i reszta dnia potoczyła się już normalnie. Wieczorem tylko w sklepie, gdy nakładałem sobie kartofle do pudełka, nałożyło mi się o 1 kg za dużo. Sklepowa nie miała mi wydać i jestem jej winien 20 gr. Kupiłem atrament, ale ten kosztował równe 2 zł 20 gr. Muszę jej więc oddać jutro. piątek,

21 stycznia 1966

Poszłem z mamą do sklepu na mieście. W P.D.T. (Polski Dom Towarowy) mama kupiła mi spodnie, buty i łapcie. Na ulicy Piotrkowskiej mama kupiła mi „pchełki” (to taka gra). Owe „pchełki” są bardzo ładne.

(...)

niedziela, 23 stycznia 1966

Kupiłem tramwajowy bilet normalny. Po raz pierwszy w życiu pojechałem na ten bilet tramwajem.

Potem poszłem do kościoła.

poniedziałek, 24 stycznia 1966

Po raz pierwszy pojechałem na bilet w wagonie bez konduktora. Kupiłem od kolegi za 2 złote pewną odznakę. Jest to odznaka szeryfa w kształcie gwiazdy. Na owej gwiazdce pisze: „Scheryf” (po polsku czyta się „Szeryf”). Niżej pod „Szeryfem” jest Cold (czyt. Kolt). Ciągle chodzę z tą gwiazdą.

środa, 26 stycznia 1966

Wyszłem z domu i śpieszyłem się, żeby mi nie uciek tramwaj. Wyszłem wcześniej. W bilecie miałem tylko jeden przejazd. Na przystanku spotkałem Zbyszka Gajewskiego (z klasy). Wsiadłem z nim do wagonu bez konduktora i pojechaliśmy do szkoły. Gdy wysiedliśmy, Gajewski założył maskę starego dziadka. Była śmieszna. Spotkaliśmy jeszcze Wiesława Maczugę (też z klasy). W trójkę poszliśmy do szkoły (Gajewski w masce). Gajewski poszedł na świetlicę, a ja, Maczuga i Borowiak (który nas dogonił po drodze) – na górę, do klasy. Na ławce w korytarzu zaczęliśmy się rozbierać. Ja i Borowiak Władysław rozebraliśmy się pierwsi i pierwsi poszliśmy do klasy. Pierwsi

byliśmy również z całej naszej klasy. Klasa jeszcze była zamknięta. Położyliśmy rzeczy na korytarzu i zeszliśmy na dół. Gdy przyszliśmy z powrotem, naszych rzeczy nie było. Schowała nam je gdzieś woźna. Ona tak zawsze robi, gdy ktoś przychodzi do szkoły za wcześnie. Zaczęliśmy zmartwieni szukać. Nie było ich w pokoju nauczycielskim (woźna je tam zawsze kładła). Nagle zobaczyłem swoją teczkę w pokoju u pana kierownika. Drzwi pokoju były otwarte. Ale to nie była moja teczka. Nasze rzeczy znaleźliśmy w korytarzu na innym piętrze. Ta teczka w pokoju kierownika należała do kogoś innego. Woźna położyła nasze rzeczy na innym piętrze, żebyśmy się martwili i nie przychodzili na drugi raz do szkoły tak wcześnie.

czwartek, 27 stycznia 1966

W szkole na lekcji matematyki mieliśmy nowy temat: mnożenie piśmienne. Umiałem je bardzo dobrze. Gdy Władysław Borowiak napisał działanie na tablicy, wydało mi się niedobre. Okazało się jednak, że to było dobre działanie. Zawstydzilem się tylko przed klasą.

Dostałem piątkę z matematyki, a z rysunków czwórkę minus i dwie czwórki plus.

(...)

piątek, 28 stycznia 1966

Poszłem z tatą do kina „Polonia” na film pt. „Więźniowie z Aldony”. Nie chcieli mnie wpuścić, bo to był film od lat 14-tu, ale w końcu jakoś wpuścili. Ja mam dopiero lat 11.

sobota, 29 stycznia 1966

Dziadziuś podarował mi dwie koszule non-iron z długim rękawem oraz małe japońskie radyjko tranzystorowe. (PS. To radyjko było przez długi czas moim jedynym źródłem bieżących wiadomości, bo w domu nie było żadnego innego radia ani tym bardziej telewizora. Jednak antena była urwana, a ponadto chyba uszkodzony wzmacniacz, i prawie nic nie było słyhać. Aby cokolwiek zrozumieć, trzeba je było stawiać koło rur centralnego ogrzewania, które biegly pionowo przez cały blok w narożniku pokoju (mowa o 4-piętrowym bloku przy Kraszewskiego 17, do którego przeprowadziliśmy się latem 1966 roku). Radyjko to było zasilane przez małą jak na tamte czasy baterię 9-woltową. Baterie takie były do nabycia w kiosku ‘Ruchu’ i były to baterie nowoczesne, bo takimi powszechnie stosowanymi w różnych urządzeniach były te płaskie 4,5-woltowe z napisem ‘Centra’ – patrz film pt. ‘Kingsajz’ i scena, w której jeden z krasnoludków porażony został „wysokim napięciem” z baterijki ‘Centra’ zawieszanej nad drzwiami).

niedziela, 20 lutego 1966

Założyłem się z Krzyśkiem, że film pt. 'W krainie komanczów' jest dozwolony od lat 16-tu – a Krzysiek mówi, że od 12-tu. A później znowu posprzecaliśmy się o nazwę pewnego kina. On mówi, że to kino nazywa się 'Adria', a ja że „Ardia”. Założyliśmy się więc dwa razy.

Zakład o nazwę kina wygrał Krzysiek, a tego pierwszego zakładu nie zdołaliśmy rozstrzygnąć. Zresztą oba zakłady są nieważne, bo robiłem je lewą ręką i w rękawicze.

(...)

wtorek, 22 lutego 1966

Dzisiaj wieczorem chodzili przebierańce. Założyłem długą spódnicę mamy, sweter, dwie chustki i maskę wilka. I wyglądałem rzeczywiście jak wilk – ten przebrany za babcię z 'Czerwonego Kapturka'.

A moja siostra założyła swoją sukienkę po kostki, chustkę i maskę kotka. I tak wyszliśmy na ulicę. Spotkałem kilku kolegów i wszyscy byli śmiesznie przebrani. Chodziliśmy po ulicy i specjalnie pokazywaliśmy się ludziom, żeby się śmiali. (...)

piątek, 25 lutego 1966

Wziąłem w szkole kupon na ulgowy bilet do teatru 'Pinokio'. Przedstawienie odbędzie się w środę, tytułu nie znam. Pojadę do tego teatru w niedzielę, to wszystkiego się dowiem.

sobota, 26 lutego 1966

Mamy się przeprowadzić do bloków, ale nasz blok jest jeszcze nie skończony. Poszedłem tam i pozwiedzałem wewnątrz. Wziąłem sobie stamtąd długiego szynkla (= „szynkla”, „szyndelka” czyli płaską, cienką, drewnianą listewkę do budowania latawców), który później mi się złamał na pół.

niedziela, 27 lutego 1966

Byłem w kinie 'Rekord' na filmie pt. 'Krzyżacy'. Filmu nie widziałem, bo nie dostałem biletów. Później poszedłem do kina 'Łączność' na film pt. 'Pechowiec na prerii'. Tego filmu też nie widziałem, bo również i tu biletów już nie dostałem.

piątek, 4 marca 1966

Dzisiaj są moje imieniny i urodziny. O godzinie 5¹⁵ skończyłem 11 lat.

(...)

W szkole poczęstowałem nauczyciela i nauczycielkę cukierkami. Dzieci też poczęstowałem, a moim najbliższym kolegom, tj. Śnieciowi Włodzimierzowi i Jackowi Bartyzelowi dałem więcej cukierków.

(...)

sobota, 5 marca 1966

Wieczorem paliliśmy z chłopcami ognisko podlane benzyną. Do niego wrzuciliśmy moją ślepą kulę od rewolweru. Kula wystrzeliła. Na szczęście nic się nikomu nie stało.

(PS: dopisek wykonany w dniu 1 marca 2009: „Pamiętam ten moment! Ognisko rozpalone zostało gdzieś pośrodku naszego wspaniałego sadu koło domu (a za sadem znajdowało się poletko uprawne pewnego ogrodnika z rogu Przędzalnianej i Dąbrowskiego – dzisiaj jest w tym miejscu stacja benzynowa). Sad obfitował w przeróżne drzewa i krzewy, a ognisko rozpalone zostało w pobliżu drzewa czereśni. Po wrzuceniu tego naboju do ognia skryliśmy się w pobliskich krzakach albo za drzewem – kilka metrów od ogniska. Leżeliśmy plackiem i czekaliśmy na wybuch. Nie wiem skąd miałem ten nabój, nie pamiętam. Nie wiem również kto wpadł na pomysł wrzucenia go do ognia, na pewno nie ja. To była z pewnością sprawka któregoś z moich starszych kolegów: Wojtka albo Pawła”).

niedziela, 6 marca 1966

Poszłem z Krzyśkiem do kina ‘Gdynia’ przy ulicy Tuwima 6 na film pt. ‘Jest taki chłopak’. Miałem szczęście, że sprzedano mi bilet bez legitymacji, której zapomniałem. A potem podczas wpuszczania na salę kinową w ogóle mnie o tę legitymację nie zapytano. (PS. Nic dziwnego. Przecież gołym okiem widać było, że szkół jeszcze żadnych nie ukończyłem).

(...)

środa, 9 marca 1966

Poszłem do teatru ‘Arlekin’ na przedstawienie pt. ‘Kotek Protek’. Poszłem zupełnie sam i z własnej inicjatywy. Przedstawienie było piękne. Gdy wracałem, to poszłem do przedszkola (urządzonego w pałacyku fabrykantów przy rogu Piotrkowskiej i Czerwonej) i odebrałem moją siostrę, a potem poszliśmy do fabryki i poczekaliśmy w

portierni na mamę. Mama się ucieszyła na nasz widok i powróciliśmy we trójkę do domu (czyli na to zapyziałe poddasze przy Michałowskiego 4).

(...)

czwartek, 10 marca 1966

Na w-fie graliśmy w piłkę z klasą piątą (ja jestem w czwartej). Przegraliśmy 7:0.

Wypożyczyłem z biblioteki szkolnej książkę pt. 'Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki'.

niedziela, 13 marca 1966

Byłem u wója mojego taty na Marysinie. Później wracając weszłem do piekarni dziadziusia. Później pojechałem jeszcze raz. Rozebrałem się do majtek i podkoszulki, i pomagałem piekarzom. Moczyłem mokrą miotłką chleb, posypywałem go makiem, naklejałem karteczki z adresem piekarni, pomagałem dziadziusiowi robić ciasto, ważyłem je na bochenki chleba, nagniałem i jadłem drożdże. Pojadę tam jeszcze we wtorek.

(PS. Pamiętam ten moment! Szczególnie to pędzlowanie mokrą miotłką po gorących bochenkach chleba, ułożonych na mobilnym, wąskim stelażu na kółkach).

Kiedyś założyłem się z mamą, że do 15-go marca nie będzie śniegu. Jednak dzisiaj padał. Oddam mamie 5 złotych o które się założyłem albo będę mył przez cały tydzień talerze, ponieważ taka była umowa.

(...)

piątek, 1 kwietnia 1966

Szkoła skierowała mnie na 6 tygodni do Państwowego Domu Wczasów Dziecięcych przy ulicy Letniskowej 20. Jest to bardzo ładny, widny dom, w którym urządzono nasze sypialnie. A obok znajduje się drugi taki sam dom, w którym urządzona jest nasza szkoła. Oba te domy należały przed wojną do niemieckiego fabrykanta Kindermana. Dobudowano tylko jadalnię, a cały teren ogrodzony jest siatką.

Będę tu aż do 10 maja.

(...)

sobota, 23 kwietnia 1966

Co sobotę się kąpiemy. Dzisiaj też się kąpaliśmy w wielkiej łaźni. Trzeba być czystym, bo jutro jest zlot młodzieży i zawody przy rodzicach oraz harcerzach. Dzisiaj mieliśmy też zmianę pościeli.

niedziela, 24 kwietnia 1966

Przyjechała dzisiaj do mnie mama i była wywiadówka. Miałem same piątki i jedną piątkę minus oraz jedną czwórkę. Mama spóźniła się na zawody, ponieważ o nich nie wiedziała. No i dobrze, bo nasza grupa zajęła dopiero czwarte, przedostatnie miejsce.

sobota, 30 kwietnia 1966

Dzisiaj na kolonii odbyła się akademie w związku z 1-szym Majem. Był chór, mówiono wiersze. Urządzono tę uroczystość o jeden dzień wcześniej, bo jutro przyjadą rodzice i będzie wielkie zamieszanie – a ponadto niektórzy nasi wychowawcy chcą iść na pochód.

niedziela, 1 maja 1966

Przyjechała do mnie mama, tata, siostra, Paweł na maratonie i Wojtek na złotym faworycie. Byliśmy na piaskowcu. Mieliśmy mecz w cztery ognie o mistrzostwo kolonii. Walczyliśmy z 5-ma grupami. Z grupą: I, II, IV, V. Zajęliśmy I miejsce. Czwarta grupa zajęła drugie miejsce. Druga grupa zajęła trzecie miejsce. Piąta grupa zajęła czwarte miejsce, a pierwsza grupa zajęła ostatnie, piąte miejsce. (Boże, jak to dobrze, że ja to wszystko tak szczegółowo zapisałem, bo dzisiaj niemożliwością byłoby ustalić która grupa jaką zajęła lokatę :))).

Dzień ten obchodzony jest bardzo uroczyście. Drugiego takiego święta już nie dożyję. Jest to przecież 1000-lecie Polski! Mamy rok 1966, a Polska przyjęła chrzest w roku 966.

(PS. Ten „maraton” i „złoty faworyt” to były rowery wyścigowe, na których jeździli moi starsi koledzy z podwórka. Szczególnym cudem, którym zachwycali się wszystkie chłopaki z okolicy, był „złoty faworyt” Wojtka Słowikowskiego. Podobno takich egzemplarzy było w całej Polsce tylko 12. Dziś myślę, że może było ich tylko 12 w tym sklepie, w którym rower został kupiony)

sobota, 7 maja 1966

Mama po mnie dzisiaj przyjechała i zabrała mnie do domu o trzy dni wcześniej – nie wiem dlaczego. Powinienem odjechać we wtorek, a odjeżdżam już w sobotę. Zresztą dużo dzieci wcześniej odjeżdża, bo podobno boją się zielonej nocy.

(PS. Pamiętam te kolonie przy ulicy Letniskowej, na które mówiło się „prewentorium”. Kolonie te silnie utkwily w mojej pamięci. To była chyba jakaś inicjatywa kuratorium polegająca na „dowartościowywaniu” dzieci z biednych rodzin, dzieci zabiedzonych. Poznałem tam Marka Majdzińskiego ze Szkoły Podstawowej nr 2, który po połączeniu naszych szkół trafił do mojej klasy i z którym siedziałem w jednej ławce. Marek Majdziński był ode mnie ze 2 lata starszy i był dla mnie bogiem. Po prostu bardzo go lubiłem, ubóstwiałem go. Był jeszcze bardziej wysportowany ode mnie i szalenie mi tym imponował. Na przykład na tej kolonii. Wskakiwaliśmy z rozpędu na pochylony pień drzewa i robiąc po tym pniu dwa kroki zaznaczaliśmy trampkiem rekordy wysokości (tj. najwyższe miejsce, do którego udało się nam dosięgnąć). A potem lądowaliśmy na trawie pod drzewem. Ja byłem w tym najlepszy. Nikt nie postawił na tym pniu stopy tak wysoko jak ja. Byłem najlepszy dopóki... dopóki nie pojawił się Marek Majdziński. Marek wbiegł po tym pniu aż trzy kroki, a następnie uchwycił się drzewa rękami jak małpa, wspiął się jeszcze nieco wyżej i tam pozostawił swój ślad. Był to rekord absolutny, położony prawie dwa razy wyżej niż my wszyscy zdołaliśmy dosięgnąć. Marek Majdziński po prostu pokazał klasę.

Innym razem – gdy trwało przygotowanie do akademii Pierwszomajowej – Majdziński wyznaczony został do zaśpiewania piosenki, która brzmi tak: „harce, wycieczki, obozowych przeżyć moc, pieśni gorące, mknące jak kamyki z proc, serca złączone bratnich uczuć cudną grą, pozdrowienia ku nam ślą! Tra la la la la la la, w sercu radość się rozpala, tra la la la la la la – chcemy słońca, chcemy żyć!”. Trwały próby i Majdziński śpiewał tę piosenkę stojąc na estradzie urządzonej w jadalni tj. w tej przybudówce do drewnianego pałacyku fabrykanta Kindermanna. Ja wraz z całą grupą bądź tylko z jej częścią siedziałem na widowni i ta piosenka mnie porwała do tego stopnia, że zacząłem śpiewać razem z Majdzińskim. Po pewnym czasie zorientowałem się, że nikt inny na widowni nie śpiewa i nieco zawstydzony zamknąłem się.

Urządzono nam zawody, które składały się z kilku różnych konkurencji. Jedną z nich był bieg z paletką, na której zawodnik trzymał piłeczkę ping-pongową i chodziło oczywiście o to, aby piłeczka nie spadła. Należałem do reprezentacji naszej grupy i biegłem w tej sztafecie jako ostatni. Może zajęlibyśmy nienajgorsze miejsce, gdyby nie fakt, że po okrążeniu słupka, powróceniu i zajęciu miejsca na końcu swojego rzędu nie stanąłem nieruchomo na baczność, tylko rozchachany komentowałem coś żywo do przedstojącego kolegi i stanąłem jakoś z boku koło niego zamiast na końcu rzędu. Komisja bacznie obserwowała takie szczegóły i – jak potem karcąco powiedział wychowawca naszej grupy – przez to moje niezdyscyplinowanie zajęliśmy jakies gorsze miejsce, może ostatnie.

(...)

Po pobudce, toalecie porannej i śniadaniu wychodziliśmy do szkoły czyli do tego drugiego pawilonu, przypominającego wielki, piętrowy dom letniskowy, który stał kilkadziesiąt metrów obok tego, w którym mieszkaliśmy. Dostawaliśmy do szkoły drugie śniadanie: wielkie i pożywne bułki, przypominające skórka i smakiem popularne grahamki. Kanapki te były przełożone żółtym serem albo szynką. Czuło się, że dbają o nas należycie, że jesteśmy pod dobrą opieką.

W pawilonie mieszkalnym był na parterze przestronny i bardzo widny salon, w którym znajdowała się nasza świetlica. Na piętrze zaś były sypialnie – urządzone w przestronnych komnatach bez drzwi.

Jednym z moich kolegów z grupy albo przynajmniej nocującym na jednym z sąsiednich łóżek był chłopak o nazwisku Piętka. Ten Piętka był solidny i dobrze zorganizowany – codziennie z pietyzmem pastował sobie buty, nawet podeszwy! To chyba od niego dowiedziałem się i nauczyłem, że buty pastuje się szczotką – i zobaczyłem jak to się robi. Bo w domu to mama nacierała pastę owiniętą wokół palca szmatką, a szczotki to używało się tylko do glansowania.

Innym kolegą z tego „prewentorium”, który przypomniał mi później o swoim istnieniu, był niejaki Cichosz. To był chłopak „z dwójki” (czyli ze Szkoły Podstawowej nr 2 znajdującej się w tym samym budynku), który zobaczył mnie kiedyś podczas szkolnej przerwy i podbiegł do mnie. Ten Cichosz był ode mnie słabszy, tj. ja się go nie bałem, a on miał obowiązek się mnie bać, bo w tamtym czasie każdy chłopak wiedział jakie jest jego miejsce w hierarchii danej społeczności. Jednak Cichosz podobno wygrywał ze mną w zapasach, tj. rozkładał mnie na łopatki. Ja niczego takiego nie pamiętałem, a on próbował mi o tym prowokacyjnie przypomnieć, atakując mnie znienacka (ale po przyjacielsku) podczas tego spotkania na przerwie. Rzeczywiście położył mnie wtedy na łopatki, ale ja się po prostu nie starałem. Pozwoliłem mu na to, aby miał satysfakcję. Uważałem się za silniejszego i chyba takim byłem. Cichosz mnie lubił i ja jego trochę też, chociaż w zasadzie nie był to mój kolega, bo po tych koloniach prawie wcale nie mieliśmy ze sobą do czynienia.

niedziela, 8 maja 1966

Tata naprawił mi rower, więc pojechaliśmy z kolegą na rowerach na tę moją kolonię przy Letniskowej: tam skąd wczoraj wróciłem. Spotkałem na miejscu kilku moich kolegów, którzy zostali jeszcze do samego końca.

piątek, 13 maja 1966

Zapisałem się do biblioteki rejonowej i wypożyczyłem książkę pt. ‘Adiutanci i generał’.

sobota, 14 maja 1966

Przyjechał cyrk i rozlokował się na placu Niepodległości. Poszłem tam dzisiaj z mamą i siostrą.

(...)

sobota, 20 maja 1966

Zacząłem układać wierszowaną baśń. Nosi ona tytuł „O dwóch czarodziejach”. Napisałem już spory kawałek.

poniedziałek, 22 maja 1966

Napisałem już połowę tego wiersza. Dobrze mi idzie. Wszyscy go chwalą. (...)

środa, 24 maja 1966

Skończyłem już ten wiersz i wszystkim się bardzo podoba. (PS. Niestety dzieło to zaginęło w odmętach późniejszych wydarzeń i w ogóle go nie pamiętam. Gdyby nie pamiętnik, to nawet bym nie wiedział, że coś takiego miało miejsce).

środa, 1 czerwca 1966

Zaprowadziłem sobie trzy zeszyty: zeszyt humorystyczny, zeszyt o Wyścigach Pokoju i ...

Na tym urywa się ten zerowy („pilotażowy”) tom mojego pamiętnika. Musiało jeszcze coś dalej być (ten trzeci zeszyt to może „zeszyt do lektury”, który prowadzę do dzisiaj?), bo na pewno nie urwałem pisania w połowie zdania. Po prostu kartka została wyrwana i nie wiadomo ile tych zapisanych kartek jeszcze było. Cóż, pozostają tylko strzępy wspomnień...

Do pisania pamiętnika powróciłem po 10 miesiącach: w kwietniu roku 1967. I od tamtego czasu piszę pamiętnik nieprzerwanie.

niedziela, 10 września 1967

Byłem z Sylwkiem i jego rodzicami w ‘Muzie’ na filmie pt. ‘Niezlomny Wiking’.

piątek, 15 września 1967

Pojechałem z Sylwkiem na rowerze na 'Metalowiec' i tam zapisaliśmy się. Tam był mecz, w którym trener – kierownik 'Metalowca' – wyznaczał którzy chłopcy mogą przyjść na następny sprawdzian. Reszta miała iść do domu. Ja zostałem przyjęty jako ostatni, natomiast Sylwek odpadł. Mamy mieć ćwiczenia we wtorki i czwartki o godz. 15⁰⁰.

sobota, 16 września 1967

Szwagier Krzyśka ma motorower. Krzysiek przewiózł mnie tym motorowerem do Wiskitna i z powrotem.

poniedziałek, 18 września 1967

Krzysiek uczył mnie jeździć na motorowerze. Udało mi się to za drugim razem i przewiozłem się kawalek. Potem wiozłem Krzyśka z Łodzi do Wiskitna, a on mnie z powrotem.

wtorek, 19 września 1967

Dzisiaj miał być sprawdzian na 'Metalowcu', ale z powodu deszczu odłożono go na czwartek.

czwartek, 21 września 1967

Na 'Metalowcu' dostaliśmy: jedna drużyna czarne koszulki z majteczkami, druga drużyna żółte koszulki z majteczkami. Rozpoczął się mecz. Ja miałem czarną koszulkę. W czasie meczu dostałem pochwałę od trenera, że dobrze gram i nie odpadłem. Czekam następnego spotkania.

piątek, 22 września 1967

Poszedłem na 'Metalowiec' z Heńkiem, Zbyszkim i Andrzejem, którzy zapisali się i po meczu zostali zakwalifikowani. Następne spotkanie mają we wtorek o godz. 15⁰⁰ tak jak ja, tylko że ja jestem po dwóch sprawdzianach, a oni po jednym.

poniedziałek, 25 września 1967

Po lekcjach nie miałem co robić w domu, więc poszedłem na Metalowiec. Tam szykowała się do meczu drużyna, z której chłopcy byli mi znani. Między nimi było trzech chłopców z naszej klasy: Andrzej Pękała, Marek Kielski i Romek Karolczyk. Drużyna nie była w pełnym składzie, więc miałem zagrać i ja. Już zakładałem niebieską koszulkę, gdy tamten brakujący zawodnik przyszedł on przyszedł.

Mecz nie był dla nich szczęśliwy, gdyż przegrali 3:2.

wtorek, 26 września 1967

Dzisiaj poszedłem ze Zbyszkiem i Andrzejem na 'Metalowiec'. Trener nie miał dla nas czasu, więc zegraliśmy sobie sami a potem rozeszliśmy się do domów.

czwartek, 28 września 1967

Dzisiaj jest Dzień Chłopaka, a nikt z chłopców o tym nie wiedział. Przypomniwały nam o tym dziewczęta, pisząc na tablicy uroczyste wiersze, śpiewając piosenki, a na końcu... częstując nas lizakami. Potem, gdy wyszły z klasy, zebrałem kilku chłopców i powiedziałem im, że musimy im jakoś podziękować. Ułożyłem w tym celu wiersz, który zapisaliśmy obok tamtego na tablicy. Oto treść zwrotki:

„Dziękujemy za lizaki
I Wasze piosenki.
Miły dla nas jest dzień taki,
Więc składamy dzięki”.

Na lekcji w-fu cała klasa poszła na 'Metalowiec'. Gdy chłopcy zrobili rozgrzewkę (którą było przebiegnięcie dookoła boiska o obwodzie ok. 300 metrów), zaczęliśmy startować. Ustawialiśmy się na starcie i biegliśmy na 60 metrów. W jednej trójce ze mną był Adam Maciejewski i Leszek Osowski. Przy mecie miałem ok. 1/2 metra straty do Leszka, który biegł drugi. Dwa metry od mety zrobiłem olbrzymi wyskok i wpadłem równo z Leszkiem na metę, mając z 1/2 metra straty do Adama. Zapisano mnie jednak jako trzeciego. Dwa lata temu na kolonii na 60 m miałem 9,8 sek. i trzecie miejsce. Teraz miałem 10,2 sek.

Po lekcjach grałem z kilkoma chłopcami w piłkę. Wynik 6:5 dla nich. Wbiłem 4 gole.

piątek, 29 września 1967

Dziś jak zwykle poszedłem ze Zbyszkiem Grzegorczykiem i Andrzejem Matusiakiem na Metalowiec. Do nas dołączył Heniek Kałucki i Mariusz Szymczak. Trener miał

trening z innymi chłopakami, więc znów graliśmy sami. Wynik: 3:2. Ja wbiłem jednego gola.

(...)

wtorek, 3 października 1967

Mama pojechała z siostrą do miasta i przy okazji wstąpiły do Uniwersalu. Właśnie! Na placu Niepodległości zakończono budowę 3-piętro-wego Uniwersalu. We wnętrzu tegoż Uniwersalu zbudowano ruchome schody!!!! Mama z siostrą najeździły się nimi do woli. Ja też poszedłem i aż się zdumiałem, bo wcale nie było tłoku. Dojechałem ruchomymi schodami na I piętro. Obejrzałem wszystko. Jadę na drugie. Ale na trzecie już mi się nie udało, bo personel i milicja przepędzają wszystkich, którzy się tam włóczą. I tak dziw, że udało mi się dojechać do drugiego piętra.

(...)

Kupiłem gazetę i zobaczyłem co grają w kinach. W końcu poszedłem do 'Wolności' na film pt. 'Osiodłać wiatr'. Gdy wracałem, było już ciemno. Na ulicy Kilińskiego zaczepiło mnie dwóch chłopaków młodszych ode mnie. Pogoniłem za nimi, ale oni wpadli na jakieś podwórko i zaczęli wołać kolegów. Cóż było robić, ulotniłem się.

środa, 4 października 1967

(...)

Po lekcjach wybrałem się z Andrzejem Jaszczyńskim do Uniwersalu. Wziąłem ze sobą siatkę, żeby milicjanci myśleli, że naprawdę wybrałem się na zakupy. Ale było to zbyteczne, gdyż milicji tym razem w ogóle nie było. Najeździliśmy się ruchomymi schodami i obejrzeliśmy wszystko dokładnie. Gdy schodziliśmy, to jednak zauważyliśmy kręcących się koło Uniwersalu milicjantów!

Rzuciłem treningi na 'Metalowcu', gdyż o tej samej godzinie mam religię.

(...)

piątek, 20 października 1967

Na godzinie wychowawczej pan Jachman (nasz wychowawca) ogłosił, że klasy z których każdy uczeń zapłaci 6 złotych, pójdą we wtorek do kina 'Roma' na film pt. 'Westerplatte'. Nasza klasa też ma iść, jeżeli wszyscy zapłacą. Ja jednak wątpię, aby

się to udało. Zapłaciłem te 6 złotych i czekam. Gdybyśmy poszli we wtorek do kina, to ominęłaby nas (na szczęście) geometria, która jest tylko raz w tygodniu.

sobota, 21 października 1967

Jeszcze tylko kilku nie wpłaciło 6 zł na kino.

Byłem dzisiaj w bibliotece rejonowej i wypożyczyłem książki. Potem udałem się do cyrku 'Bajka', żeby kupić sobie bilet. Były po 9 złotych, a ja miałem tylko 10 i żał mi było tyle wydać. Na szczęście okazało się, że wszystkie bilety są już wykupione. Nic to, pójdę w to miejsce jutro do kina.

niedziela, 22 października 1967

Z samego rana przyjechał do mnie na rowerze Krzysiek. Pojeździliśmy trochę i poszliśmy do 'Wolności' na film pt. 'Wikingowie'.

(...)

wtorek, 24 października 1967

(...)

Na trzeciej lekcji poszliśmy do kina 'Rekord' na film pt. 'Westerplatte'.

środa, 25 października 1967

Dostałem z geografii 5.

Na biologii Anka Maciejewska czytała książkę o roślinach. Adaś Domagalski robił wielki zamęt, a pani postawiła całej klasie uwagi, nawet A. Maciejewskiej!

Zostaliśmy zwolnieni z jednej lekcji, bo pani Witczak poszła ze swoją klasą zwiedzać Zakłady F. Dzierżyńskiego, gdzie pracuje moja mama.

czwartek, 26 października 1967

Po lekcjach poszedłem do 'Rekordu' na film p.t. 'Rio Conchos'.

Kupiłem sobie sygnet.

piątek, 27 października 1967

(...)

Na języku polskim mieliśmy najdziwniejsze wypracowanie: Bazary na Czerwonym Rynku (Czerwony Rynek znajduje się obok naszej szkoły). Mieliśmy opisać ten bazar.

(...)

środa, 1 listopada 1967, Wszystkich Świętych

Dzisiaj święto Wszystkich Świętych. W południe poszliśmy na ul. Kurczaki na cmentarz do grobu Zbyszka Zajdla, który mieszkał z nami przez ścianę i który zginął pod kołami ciężarówki z winy kierowcy!

(PS. To chyba nie było z winy kierowcy. Zbyszek jechał swoim wyścigowym rowerem ulicą Rzgowską w kierunku Rzgowa i Tuszyna. Wtedy nawierzchnia na tym odcinku była z takiej granatowej kostki bazaltowej. Zbyszek został wyprzedzony przez ciężarówkę i zaraz gdy tylko ona koło niego przemknęła, odbił w lewo, aby wpaść w jej tunel powietrzny, który miał go pociągnąć. Zbyszek nie wiedział, że ciężarówka ciągnie przyczepę, pod której koła się dostał. Jego matka wyła z rozpacz, gdy ją powiadomiono o śmierci jej jedyne dziecko. Zbyszek był dla tej naszej samotnej sąsiadki oczkiem w głowie był dla niej całym jej światem).

sobota, 4 listopada 1967

Wykończyłem na zajęciach technicznych szufelkę do grochu, mąki itp. Wyszła mniej więcej na 4. Stopnia jeszcze nie dostałem.

(...)

W szkole zostaliśmy zwolnieni z ostatniej lekcji – ze śpiewu.

Gdy mama wracała z pracy, widziała koło nowo wybudowanego wiaduktu tłumy ludzi. Chłopaki mówili, że dziś o godzinie 11⁰⁰ nastąpiło otwarcie tego wiaduktu. (PS. Nie pamiętam o jaki wiadukt mogło chodzić, być może o wiadukt nad ulicą Rzgowską).

(...)

poniedziałek, 6 listopada 1967

Dzisiaj rano wyciągnąłem z toaletki „od wieków” nie ruszaną szufladkę. Między wszystkimi rupieciami, które tam trzymałem, znalazłem rzeczy, o których nie wiedziałem że jeszcze istnieją. Między innymi były to dwa tramwajarskie „orzełki”,

kamień powstały z zeschniętego wapna, które było w środku muszli (kamień ten istniał już kilkadziesiąt milionów lat temu!!!), dużo części z trzech długopisów, a poza tym dużo dużo innych fascynujących drobiazgów (np. małą bryłkę bursztynu, która jak pamiętam była w szkole podstawowej moim talizmanem).

(...)

Po południu poszedłem do biblioteki rejonowej i wypożyczyłem sobie książki. Gdy wracałem, poszedłem obejrzeć nowy wiadukt.

środa, 8 listopada 1967

Na matematyce przerabialiśmy dziesiątą. Pani kazała napisać na tablicy ułamek $7,20$. Powiedziała, że z miejsca postawi piątkę do dziennika temu, kto powie jej bardzo ważną rzecz, którą w tej dziesiątej zauważył. Wymyślali (ja również) różne rzeczy, ale niestety nie o nie chodziło. W pewnej chwili zauważyłem, że tę dziesiątą można uprościć. Zamiast $7,20$ może być $7,2$ i to nie zmieni wartości tego ułamka. Powiedziałem to i dostałem 5. Pani Witczak wyraziła jawne niezadowolenie, że to ja dostałem 5, a nie któryś z gorszych uczniów!

Na polskim mieliśmy dyktando.

(...)

W szkole odkupiłem od Grzeška Kaczmarka soczewkę za 3 złote.

czwartek, 9 listopada 1967

Po lekcjach miałem się spotkać z tatą i iść do kina. Taty nie było, więc poszedłem sam na film pt. 'Najazd Czarnego Księcia'. Cały czas do kina 'Włókniarz' i z powrotem szedłem na pieszo – w za ciasnych i ścierających mi pięty butach.

piątek, 10 listopada 1967

(...)

Dostałem w szkole z klasówki z polskiego 4, a z dyktanda 5-. Z rysunków dostałem 4+.

Dzisiaj jest straszna pogoda. Chciałem ze Zbyszkim Grzegorzakiem zagrać w piłkę, ale nie mogliśmy wyjść poza obręb klatki schodowej. Zegraliśmy więc w piłkę na klatce, na terenie niecałych 2 m^2 !!!!!! Wynik 18:18.

Ukończyłem pisać nowy wiersz pt. 'Mecz naszej klasy'.

sobota, 11 listopada 1967

Dostałem z matematyki 4, a ze śpiewu 5.

Po lekcjach poszedłem z Andrzejem Matusiakiem na rynek. Kupiłem sobie dwie okładki do książek. Jedna miała na głównej karcie piratów zdobywających statek, a druga obraz z filmu pt. 'Hamlet'. Kiedy tylko będę miał pieniądze, zawsze będę sobie kupował takie okładki.

(...)

środa, 15 listopada 1967

Zacząłem pisać książkę (a raczej chyba opowiadanie, bo takiej długiej rzeczy jak książka to chyba nie potrafiłbym napisać). Kończę już drugi rozdział i dałem chłopakom do poczytania. Bardzo im się podobało i bardzo mnie chwalili.

(PS. To była powieść sensacyjna pt. 'Dywersanci'. Ukończyłem ją i było to pierwsze „dzieło literackie” 12-letniego chłopca. Niestety, książka ta pozostała w piwnicy mojej pierwszej żony na warszawskiej Ochocie, a w roku 1977 pobrano mnie do wojska, żona mnie opuściła i tyle ją widziałem (książkę – ale i moją wybrankę również). Po wyjściu z wojska ożeniłem się po raz drugi – i chyba ostatni, chociaż mówią „do trzech razy sztuka” :))).

(...)

piątek, 17 listopada 1967

Moją „książkę” wszyscy chwalą. Kończę już trzeci rozdział.

Na przerwie między godziną wychowawczą a rysunkami wybiłem w szkole niechcący szybę w szafie. Potrąciłem ją i się posypała. Szyba ta była już cała popękana i nawet miała dziurę. Dzięki moim uczynnym kolegom nikt się o niczym nie dowiedział i uszło mi na sucho.

Wczoraj na pracach ręcznych pani powiedziała, że następnym razem możemy robić modele statków, samolotów itp., i że można się dobierać grupami. Naszą grupę tworzą cztery osoby: ja, Andrzej Matusiak, Andrzej Jaszczyński i Remigiusz Łuczyński. Na dzisiaj mieliśmy przynieść po 6 złotych i kupić model szybowca. Gdy szliśmy już ulicą Rzgowską do 'Czuj-czynu' na placu Reymonta, Andrzej Matusiak wystawił propozycję, żeby zobaczyć czy w 'Uniwersalu' nie ma takich modeli. Podzieliliśmy się na dwie grupy, żeby nas nie wygoniono. Ja byłem z Andrzejem Matusiakiem. Zapytaliśmy się na stoisku o modele. Gdy dowiedzieliśmy się, że nie ma – przejechaliśmy się schodami na III piętro. Teraz baliśmy się, że możemy się nie spotkać z naszymi kolegami. Matusiak poszedł więc czekać na nich przy jednym wyjściu, a ja przy

drugim. Poczekałem z minutę i zobaczyłem Andrzeja Jaszczyńskiego. Oni chcieli czekać na nas w ten sam sposób jak my na nich.

(PS. No proszę: pierwszy dom handlowy z 2-ma oddalonymi od siebie wejściami, a już można się było pogubić...)

Nie dostaliśmy modeli w 'Uniwersalu' i nie dostaliśmy też w 'Czuj-czynie', ponieważ tam było przyjęcie towaru. Poszliśmy pieszo do 'Czuj-czynu' przy ulicy Piotrkowskiej. Tam też nie było. Wtedy Andrzej Jaszczyński powiedział, że jest jeszcze jeden 'Czuj-czyn': trochę dalej. Poszliśmy więc w stronę placu Wolności i gdy byliśmy już prawie przy samym placu, Andrzej Jaszczyński nagle przypomniał sobie, że ten trzeci 'Czuj-czyn' jest nie „za”, lecz „przed” tamtym drugim – od którego strony przyszlismy. Wtedy Andrzej Matusiak i Remigiusz Łuczyński zdenerwowali się i odeszli. My (ja i Andrzej Jaszczyński) – myśląc, że oni poszli do autobusu i pojechali do domu – ruszyliśmy znowu pieszo przez całą Piotrkowską szukając tego trzeciego 'Czuj-czynu'. Nie znaleźliśmy go (bo go w ogóle przecież nie było – Jaszczyńskiemu się pomyliło), ale za to gdy doszliśmy znowu do placu Reymonta, to okazało się, że przyjęcie towaru się skończyło i 'Czuj-czyn' jest już otwarty. No i kupiliśmy ten model – a jest to szybowiec o nazwie 'Dzięcioł'.

Gdy wracaliśmy usatysfakcjonowani do domu, dogonili nas Łuczyński z Matusiakiem, którzy wcale nie pojechali do domu, tylko szukali nas po Piotrkowskiej, myśląc że im złośliwie uciekliśmy.

Tego 'Dzięcioła' będziemy kleić już jutro od godziny 10⁰⁰, bo jutro nie mamy lekcji, tylko jest akademia z powodu Dnia Nauczyciela.

Wieczorem poszedłem do Jaszczyńskiego, aby obejrzeć ten model po rozpakowaniu. Byłem u niego bardzo długo i graliśmy w karty.

sobota, 18 listopada 1967

O godzinie 9⁴⁵ przyszedł do mnie Andrzej Matusiak i poszliśmy do Andrzeja Jaszczyńskiego. Łuczyński już tam był. Zaczęliśmy kleić model i wykonaliśmy szkielec jednego skrzydła. Była to żmudna praca i dalej nam się już nie chciało. Pobiliśmy się trochę (na żarty ma się rozumieć), pograliśmy w karty i rozeszliśmy się do domu. Znalazłem po drodze kawał piany morskiej, tak gdzieś z jeden metr kwadratowy!

(...)

poniedziałek, 20 listopada 1967

Andrzej Jaszczyński powiedział, że odłącza się od naszej grupy w zakresie klejenia modelu. On musi dokończyć swojego 'Żuka', a 'Dzięcioła' zostawia nam.

środa, 22 listopada 1967

Na matematyce dostałem z kartkówki 5.

Na przerwie między językiem polskim a biologią A. Maciejewski (ja osobiście tego nie widziałem, ale powiedzieli mi koledzy, że to on) wyrzucił przez okno butelkę. Ulicą Jachowicza nadchodziła akurat pani Kuneman, a tuż pod naszymi oknami (nasza klasa znajduje się na drugim piętrze) znajdował się jakiś mężczyzna i butelka upadła koło niego. Na szczęście nic się nie stało, ale na biologii przyszła do nas w tej sprawie pani kierowniczka. Adam Maciejewski przezornie uciekł z lekcji, a nikt z chłopaków nie chciał go sypnąć i pani kierowniczka nie dowiedziała się kto to zrobił. Powiedziała, że jeżeli winowajca się nie znajdzie, to odpowiadać będą wszyscy, którzy byli akurat w klasie. Na nieszczęście ja też tam wtedy byłem!

(...)

czwartek, 30 listopada 1967

(...)

Po lekcjach o godz. 16⁰⁰ poszedłem z Andrzejem Matusiakiem do Andrzeja Jaszczyńskiego na imieniny. Baliśmy się, że się spóźnimy, lecz byliśmy najpierwsi. Stół był zastawiony: tortem, ciastkami, jabłkami, filizankami, kremem itd. Zaraz po nas przyszedł Łuczyński, a potem Brewiński. Gdy dziewcząt długo nie było, wyszliśmy na ulicę. Tam stały wszystkie: Agnieszka Bossak, Mirka Balejczyk, Barbara Robak, Anna Łuszczyńska i Ewa Stolarczyk. W telewizji miał być 'Piegus', posiedzieliśmy więc z godzinę przed telewizorem – ale 'Piegusa' nie było. Zasiadliśmy więc do stołu. Po półgodzinie „ucz towania” wstałem i powiedziałem: „na cześć solenizantów: sto lat!”. Solenizantów było dwóch. Potem pan Jaszczyński zrobił nam kilka zdjęć. Na każdym z nich jestem między Anią Łuszczyńską a Agnieszką Bossak. Potem na prośbę kolegów musiałem opowiedzieć treść książki którą piszę – a także zarecytować niektóre swoje wiersze.

Gdy mieliśmy się rozejść, zaczęto opowiadać o duchach. W efekcie dziewczyny bały się iść do domu i pan Jaszczyński musiał je poodwo-zić swoim autem.

piątek, 1 grudnia 1967

Przyrzekłem wszystkim u Andrzeja, że napiszę o wszystkim co się wczoraj wydarzyło wiersz. Już wczoraj napisałem trzy zwrotki. Jedna z nich poświęcona była egzotycznej piękności: Ani Łuszczyńskiej. Dzisiaj powiedziałem jej o tym. Cały czas do końca lekcji prosiła mnie bym jej tę zwrotkę pokazał. Była to zwrotka troszkę miłosna, z ukrytym lecz bardzo łatwym do rozpoznania sensem. Gdy wyszliśmy ze szkoły, wcisnąłem jej do ręki kartkę z tą zwrotką i... uciekłem.

Gdy byliśmy jeszcze w klasie, to prosiła mnie żebym jej przepisał cały wiersz i podarował. Między nami toczy się jakaś gra. Inne dziewczęta (które były u Andrzeja) też prosiły mnie, żebym o nich w tym wierszu wspomniał. Mam więc pełne ręce roboty.

sobota, 2 grudnia 1967

W szkole dałem Łuszczynskiej ten wiersz. Potem spytałem ją czy jej się podoba. Na jej twarzy pojawił się rumieniec (w tym wierszu była przecież cała zwrotka o niej). Powiedziała, że tak. Na geografii dałem jej do przeczytania na jej prośbę tę książkę, którą piszę. Zamiast Łuszczynskiej czytały ją wszystkie dziewczyny, a ona sama nie zdążyła. Nie zgodziłem się, aby wzięła sobie poczytać do domu. Powiedziałem, że w takim razie przeczyta jutro.

A w domu dopisałem kolejne epizody i jednocześnie rozbudziłem w sobie wyobraźnię co do dalszego ciągu. Piszę tę książkę z wielkim entuzjazmem, a wszyscy na bieżąco ją czytają i dopytują się o ciąg dalszy. Mam powodzenie!

(...)

piątek, 8 grudnia 1967

(...)

Na języku polskim Józek Brewiński przyniósł adapter, bo mieliśmy słuchać jakiegoś nagrania o Śląsku.

Skoro był ten adapter, to na lekcji rysunków urządzono zabawę.

Po lekcjach poszedłem ze Zbyszkiem Grzegorzakiem na górkę. Było tam już kilka osób z sankami. My ślizgaliśmy się na butach. Potem poszliśmy do mnie i wyciągnęliśmy z komórki moje sanki. Zaraz doskoczył do mnie Andrzej Przybysz (ten, który niedawno przebił mi piłkę nożem) i zażądał, żebym dał mu się przewieźć. Zbyszka przy tym nie było, bo poszedł na chwilę do domu. Przybysz zabrał mi sanki, złapał je w ręce, rozpędził się i skoczył na nie ślizgiem. Skoczył i dostał należytą nauczkę! Płazy były całe porzewiałe, bo tej zimy sanki nie były jeszcze używane. Ja o tym wiedziałem i zamierzałem je rozjeździć dopiero na górce. Przybysz rzucił się rozpędzony na te sanki, a one pozostały w miejscu i on przekoziółkował ostro na pokryty ubitym śniegiem chodnik. Poturbowany leżał tak na plecach ze dwa metry obok sanek i śmiał się z siebie samego.

(Pamiętam! Incydent ten miał miejsce przed blokiem Zbyszka czyli przy Przyborowskiego 4a)

Czekałem pod blokiem na Zbyszka, który wkrótce wyszedł. A w sąsiedniej klatce mieszka Ewa Stolarczyk, po którą przyszły w pewnym momencie Ania Łuszczyńska i Iwona Grabowska. Niestety Ewy nie było w domu. Wtedy Łuszczyńska i Grabowska (które miały tylko jedne sanki) zabrały się z powrotem do domu. Ale my ze Zbyszkiem dogoniliśmy je i zapytaliśmy czy chcą iść z nami na górkę. One powiedziały, że już były, ale nie mogły sobie pojechać, bo chłopaki je podrywali i ciągle im przeszkadzali. Wtedy my powiedzieliśmy, żeby poszły z nami i niczego się nie bały, bo jak będą z nami, to nikt ich zaczepiać nie będzie. Zbyszek był bez sanek, to w takim razie wziął sanki należące do dziewczyn i pociągnął Anię Łuszczyńską – a ja pociągnąłem Iwonę Grabowską. Pociągnęliśmy je do samej górki. Tam oddaliśmy dziewczętom obie pary sanek, a sami zjeżdżaliśmy na butach. Później zjeżdżaliśmy na sankach całą czwórką. Na koniec odwieźliśmy dziewczęta do domu i tak się rozstaliśmy.

O godz. 16³⁰ poszedłem na zbiórkę harcerską. Dowiedziałem się o niej od Karbowiaka z klasy VIb i dziś poszedłem się zapisać. Zapisano mnie do zastępu Karbowiaka. Nasza drużyna nosi nazwę Zawiszy Czarnego.

sobota, 9 grudnia 1967

Dziewczynom spodobały się harce na górze i dzisiaj też się z nami umówiły. Po lekcjach spotkaliśmy się koło bloku ze Zbyszkiem Grzegorzakiem, Andrzejem Matusiakiem i Ewą Stolarczyk (wszyscy mieszkamy koło siebie) i poszliśmy z sankami po Ankę Łuszczyńską. Oj, za-czynają się randki!

Dostałem ze śpiewu 5.

niedziela, 10 grudnia 1967

Po południu pojechałem do babci na Bałuty. Dziadzius leży w szpitalu i jest z nim coraz gorzej. Gdy chciałem wsiąść do tramwaju, to nie mogłem otworzyć drzwi. Szarpnąłem je, ale nie ustąpiły. Wtedy otworzył je jeden pan. Zaczerwieniłem się i było mi wstyd, że ja nie dałem rady. Ale zrehabilitowałem się niedługo potem. Jakiś chłopak w moim wieku szarpał się z tymi drzwiami i nie mógł ich otworzyć (bo się zacinały), a wtedy ja wkroczyłem do akcji i otworzyłem je jednym szarpnięciem.

wtorek, 12 grudnia 1967

Na religii zrobiliśmy losowanie na mikołajki. W następną środę będziemy rozdawać prezenty.

piątek, 15 grudnia 1967

Kupiłem od Andrzeja Matusiaka małe srebrne autko wyścigowe za 2 złote. Lecz po lekcjach mi ono pękło i będę musiał sobie skleić.

Dziś w szkole też zrobiliśmy losowanie na mikołajki. Ja wylosowałem Mirka Wilkowskiego, a on mnie. Umówiliśmy się, że kupimy sobie gry planszowe.

Po lekcjach poszedłem do 'Uniwersalu' i kupiłem na mikołajki na religię ślicznego misia za 12 złotych, a do szkoły grę planszową 'W Afryce'.

Poszedłem na zbiórkę harcerską. Myślałem że się spóźnię, a tymczasem tam było wszystko pozamykane i nikogo nie było. Poczekalem trochę, a gdy nikt nie przyszedł, to wróciłem do domu.

(...)

niedziela, 17 grudnia 1967

Dziś rano poszedłem do komórki po łyżwy. Przymierzyłem i... prawie się rozplakałem. Były za małe. W tym momencie prysła cała moja nadzieja, że będę tej zimy jeździł na łyżwach. Ale nie! Mama powiedziała, że kupi mi łyżwy jeszcze dzisiaj. Wyszliśmy potem na miasto, tj. głó-wnie do 'Uniwersalu'. Dzisiaj jest „brudna niedziela” i wszystkie sklepy są otwarte. Mama kupiła mi modne spodnie oraz te obiecane łyżwy.

(...)

Wieczorem przymierzyłem łyżwy. Okazało się, że nawet umiem na nich chodzić! W ogóle mi się stopy nie chwieją!

poniedziałek, 18 grudnia 1967

Na przerwie między jedną fizyką a drugą wybiegliśmy z chłopakami na boisko rzucać się kulami śniegowymi. Ich było czterech: Andrzej Matusiak, Zbyszek Grzegorzczak, Józek Brewiński i Reniek Łuczyński – a nas trzech: ja, Mirek Wilkowski i Włodek Śnieć. Jednak to my byliśmy początkowo górą. Wyparliśmy ich z forticy i osaczyliśmy przy murze. Wtedy ja krzyknąłem „hurr-raaaaa!” i runąłem naprzód. Za mną ruszyli moi koledzy. Ale nasi przeciwnicy rozpoczęli desperacką obronę, bardzo nasilili ogień i zrobiło się niebezpiecznie. Wtedy dwaj moi koledzy uciekli, a ja zostałem sam: jeden na czterech. Okrążyli mnie i chcieli mi spuścić łomot. Mimo to broniłem się zaciekle i nawet skutecznie. Później mnie za to chwalili na lekcji.

(...)

Po lekcjach zaniósłem buty do szewca, żeby mi wyłobił dziury w podeszwach i przybił blaszki do łyżew. Jutro już będę jeździł na łyżwach!

Poszedłem na górkę i spotkałem tam Anię Łuszczynską oraz Agnieszkę Bossak. Zjeżdżałem z nimi – a raczej za nimi, sypiąc „dobrymi uczynkami”. Tak to one potem powiedziały.

wtorek, 19 grudnia 1967

Dostałem z języka polskiego 5 za aktywny udział w lekcji. A na w-fie poszliśmy na górkę (chodzi ciągle o tę samą górkę koło ‘Metalowca’, która do dzisiaj zmalala już chyba o połowę).

Po lekcjach poszedłem do szewca po buty, a potem wybrałem się z kolegami na górkę – już na łyżwach. I okazało się, że nawet dobrze mi idzie – chociaż tamtej zimy w ogóle na łyżwach nie jeździłem.

Pod wieczór spotkałem na górcie Józka Brewińskiego, który był też na łyżwach. Pojechaliśmy razem do Rzgowskiej, a potem zatoczyliśmy duże koło po okolicznych ulicach. Co chwila musiałem przystawać i na niego czekać, bo Józek poruszał się wolniej ode mnie.

środa, 20 grudnia 1967

Na biologii mieliśmy wyświetlane dwa filmy przyrodnicze.

Kupiłem od Andrzeja Matusiaka czapkę „bitelsówkę” za 10 złotych! On chciał kupić sobie „degolówkę” i ojciec powiedział mu, że jeżeli sprzeda swoją „bitelsówkę” za 60 złotych, to mu dołoży drugie tyle i wtedy będzie miał na „degolówkę”. Andrzej miał już uzbierane 50 złotych i brakowało mu tylko 10. Tej „bitelsówki” nikt nie chciał od niego kupić, więc opuścił cenę na 10 złotych i wtedy kupiłem ja.

Widziałem wieczorem Matusiaka w tej jego nowej „degolówce”. Wyglądał świetnie. „Degolówka” to ostatni krzyk mody.

Na religii mieliśmy wymianę prezentów, lecz najpierw składaliśmy księdzu życzenia i łamaliśmy się opłatkiem. Powiedziałem księdzu życzenia wierszem:

„Z okazji świąt Bożego Narodzenia
Składam księdzu serdeczne życzenia:
Zdrowia, szczęścia, moc radości
Niechaj w sercu księdza gości”.

Jestem już z tego znany i na religii, że układam wiersze. Prezent, który trafił mi się w ramach mikołajek, to była książeczka z serii „tygrysów”, pół paczki dropsów i taka tabliczka z ruchomymi cyframi.

(PS. „Pół paczki dropsów”?! To sprzedawali dropsy na połówki niczym masło? Raczej fundatorowi zrobiło się żal i sam się poczęstował...)

Wieczorem jeździłem trochę na łyżwach i nauczyłem się robić „trójki”. Wychodzą mi już bardzo dobrze.

czwartek, 21 grudnia 1967

Dziś w szkole miała być zabawa, lecz mimo to wziąłem ze sobą wszystkie książki. Jednak okazało się to podwójną niekonsekwencją...

Dziewczyny przyszły wystrojone. Zabawa miała się odbyć na ostatniej lekcji czyli na matematyce. Jednak wszyscy chłopcy (i ja też) uciekli z tej zabawy. Nie wiem jak inni, ale ja to się wstydzę tańczyć, bo nie umiem. Inni pewnie też nie za bardzo umieją i każdy się boi, że będą go zaraz wyszydzać.

A więc nie poszliśmy na zabawę, a tymczasem okazało się, że odbyła się normalna lekcja. Nauczycielka spisała na kartce nazwiska wszystkich nieobecnych.

Po lekcjach poszedłem odwiedzić dziadziusia, który jest bardzo chory. Trasę z Chojen na Bałuty pokonałem pieszo.

(...zimowisko w Grotnikach...)

Zofia Hrdina-Górska

Retkińska 8, Karolew

„Mały, biały domek w mej pamięci tkwi,
Mały biały domek wciąż mi się śni.

Mały biały domek budzi w sercu żal,
Za tym co minęło i odeszło w dal.”

Jadąc autobusem linii 99 bądź 80 często spoglądam na okazały dom – apartamentowiec. Widać go dobrze gdy autobus skręca z Retkińskiej w ulicę Krzemieniecką. Adres tego domu to Retkińska 8, ale w mej pamięci pod tym numerem zachował się widok całkiem innego domu....

Mieczysław Fogg śpiewał tęsknie o „małym białym domku”, ja zaś powinnam śpiewać o dużym, dwupiętrowym domu zbudowanym na jedną cegłę i obłożonym czarnym dębem.

Dom od strony ulicy Krzemienieckiej okalał potężny ogród otoczony wysokim płotem, zaś od Retkińskiej bezpieczeństwa jego mieszkańców strzegła brama – w dzień otwarta, a na noc zamykana. Dom nie posiadał żadnych wygod. Woda była w studni; każde wiadro trzeba było przynieść i wynieść. W podwórzu prócz studni, były ubikacje i komórki dla lokatorów.

Do tego, na owe czasy jedyne tak dużego domu na Karolowie, sprowadzili się moi dziadkowie za strony mamy chyba zaraz po wojnie. W dokumentach adresowych rodziny jawi się polska nazwa ulicy, a nie niemiecka – Reckstrasse do 1945 – czas okupacji hitlerowskiej. Wraz z dziećmi i dobytkiem zajęli prawe skrzydło parteru. Wcześniej mieszkali we wsi Teofilów, który obecnie jest dużym osiedlem mieszkaniowym. Domyślałam się, że zmiana adresu zamieszkania spowodowana była poprawieniem rodzinie warunków bytowych. Do dyspozycji mieli kilka pokoi, których okna wychodziły na podwórze i na ulicę. Okna były ogromne. Te od strony ulicy posiadały drewniane okiennice. W rodzinnym albumie jest sporo zdjęć właśnie z motywem okiennym: dorośli w oknie, albo dzieci stojące pod oknem. Płot ogrodu pana Wiznera był zarośnięty czarnym bzem, który latem wydzieliał tajemniczą, leczniczą woń. Zapach bzu na pewno tonował i utylizował odór wydobywający się z przepelnionego szamba prymitywnych ubikacji.

Moja świadoma pamięć o domu dziadków sięga lat 60. i 70. ubiegłego wieku. W odwiedziny do dziadków nie jeździliśmy zbyt często. W tych latach komunikacja

miejska nie była tak dogodna jak obecnie. Z Bałut, gdzie mieszkałam wraz z rodzicami, do dziadków jeździliśmy tramwajem podmiejskim linii Konstantynów-Lutomiersk. Później, wraz z rozbudową Karolewa, czyli budową „Osiedla Młodych” pojawiały się inne, dogodniejsze połączenia. Z tramwaju nie wychodziliśmy już na wysokości Dworca Kaliskiego; tramwaj jechał dalej, czyli do jednostki Straży Ogniowej, gdzie „dziewiętnastka” miała swoją krańcówkę.

Jako dziecko, później nastolatka, bardzo lubiłam wyprawy „za miasto”. Klimat tego bardzo zielonego zakątka Łodzi, był tak różny od tego „mojego” bałuckiego. Dom górował nad Polesiem Konstantynowskim, Zdrowiem, ogrodem zoologicznym i szkółkami, które dały początek ogrodowi botanicznemu. Gdy szliśmy do dziadków od ulicy Wileńskiej (wtedy Małgorzaty Fornalskiej) mijaliśmy, zapuszczony cmentarz, o którym mieszkańcy Karolewa opowiadali różne dziwne historie. Napis na bramie cmentarza „Memento mori” nakazywał wieczną pamięć.

Na początku lat 70. z najstarszymi mieszkańcami domu przy ulicy Retkińskiej 8 gazeta codzienna przeprowadzała wywiady. Później ukazał się duży artykuł w prasie. Było to historyczne pożegnanie się z przeszłością i powitanie tego, co miało nastąpić wkrótce – wyprowadzka lokatorów. Babcię (dziadek już wtedy nie żył) przeprowadzono na ulicę Radwańską – wówczas Generała Karola Świerczewskiego.

Dom wyburzono, by na jego miejsce wybudować inny, nowocześniejszy. Po ogrodzie, podwórzu ze studnią, czarnym bzie, nie ma już śladu. Została jednak maleńka zielona kapliczka, która jest umieszczona na drzewie od strony ulicy. Kapliczka była w tym miejscu od zawsze.

Jakub Hubert

Przyjechałem do Łodzi z rodziną w 1839 roku...

Mam na imię Jakub. Dla bliskich – Kuba. Mój pradziadek miał na imię Teodor. Teodor Hubert (Hubert to w naszym przypadku nazwisko). Jedyne co o Nim wiedziałem, to że był majstrem w „Białej Fabryce” Geyera, o czym świadczy pamiątka po Nim - prawie 100 letnia książeczka obrachunkowa z tego zakładu.

Jakieś 15 lat temu postanowiłem dowiedzieć się o Teodorze czegoś więcej. Internet wtedy raczkował, a jedynym sposobem na zdobycie informacji genealogicznych było odwiedzenie Archiwum Państwowego w Łodzi i próba znalezienia czegoś... właściwie sam nie wiedziałem czego.

Po kilku pełnych dniach spędzonych nad księgami i mikrofilmami nie wiedziałem wiele więcej o Teodorze, ale znalazłem kilkanaście różnych osób z nazwiskiem Hubert. I ich liczba ciągle rosła... powoli udawało mi się ich wszystkich połączyć w jedno wielkie drzewo genealogiczne... Dopasowałem praktycznie wszystkich – spokojnie ponad setka. Ojciec Bogusław, dziadek Aleksander, pradziadek Teodor i nieznane mi jego rodzeństwo, potem i jego ojciec - Antoni i także jego rodzeństwo i dzieci rodzeństwa... i mam! Akt ślubu samodzielnie podpisany przez Antoniego bardzo chwiejną ręką – czy był tak zdenerwowany podniosłą chwilą, czy po prostu był niepiśmienny, ale nauczył się specjalnie na tą okazję swojego podpisu? Pewnie tego się już nie dowiem.

Ale co jeszcze widzę w tym akcie? Ojcem Antoniego był... Jakub. Ale Jakub to przecież ja! Ponad 200 lat temu jeden z moich bezpośrednich przodków - Łodzian, nazywał się dokładnie tak jak ja. Jakub Hubert. Ja teraz i on 200 lat temu. Kim byłeś praprapradziadku ?!

Zacząłem przeglądać akta metrykalne rok po roku. Trwało to wiele dni, bo dokumenty pisane ręcznie nie zawsze były czytelne, ale z czasem przyzwyczałem się do kroju liter i nabrałem wprawy. I wreszcie jest ! Akt zgonu Jakuba z 1865 roku. Wynika z niego że urodził się około 1802 roku, ale... nie w Łodzi. Zresztą nie mogłem tego raczej oczekiwać - Łodzi jako dużego miasta, które znamy teraz wtedy jeszcze nie było. Jego mieszkańców także. Więc miejsce urodzenia? Wielkie Księstwo Badeńskie. Nieznani rodzice. Jak to... czyli nie mam żadnego punktu zaczepienia? Spróbowałem jeszcze zapytać Archiwum w Badenii. Po uiszczeniu niewielkiej opłaty i kilku tygodniach oczekiwania jest odpowiedź. Nie... nie było takiej osoby, nie ma o niej śladu - żadnych dokumentów.

Więc koniec poszukiwań Jakubie. Nie dowiem się kim byłeś, skąd i dlaczego przyjechałeś... Byłeś zapewne jednym z wielu ludzi, którzy przenieśli się do Łodzi

kiedy zaczynał się sen o wielkim mieście i wielkich możliwościach. Pewnie Ty i Twoje dzieci je budowałeś. Szkoda, że nie dowiem się niczego więcej...

Minęło wiele lat. Czasem starałem się wrócić do sprawy Jakuba, ale bez skutku. Syn nieznanych z imienia rodziców, pochodzący z Księstwa Badenii. Znalazłem tylko informację, że Księstwo Badenii w 1848 roku było sceną walk rewolucyjnych w ramach Wiosny Ludów. Dowódcą rewolucjonistów był Polak – generał Ludwik Mierosławski. Jednak jego oddziały ostatecznie przegrały, a po tym w Badenii nastąpił okres terroru i prześladowań. Romantyczne wizje podpowiadały mi, że może Jakub był rewolucjonistą, który wraz z generałem Mierosławskim musiał szukać schronienia w innym kraju i tak dotarł do Polski?

Minęły kolejne lata. Na Cmentarzu Starym przypadkiem znaleźliśmy grób z nazwiskiem Hubert. Wcześniej żmudnie stworzone drzewo genealogiczne dało odpowiedź: to brat pradziadka Teodora. Grób opuszczony i nieopłacany od dziesiątek lat. Skromny. Z krótką i ciepłą inskrypcją od żony i dzieci pochowanego w 1923 roku „prawujka”. Czy jego dzieci przetrwały wojnę? Nie wiem do dziś. Grób w ramach naszych możliwości wraz z tatą uporządkowaliśmy i opłaciliśmy. Będzie bezpieczny przez kolejne lata, na pewno nie zginie. Ale odwiedzamy go rzadko, właściwie tylko przed 1 listopada. Jest tyle innych grobów rodziny...

Minęły kolejne lata... Jest wiosna 2018 roku. Wracam do historii, bo w Internecie już od dawna pojawiają się zeskanowane księgi metrykalne. Dzięki nim udaje mi się znaleźć kolejne dzieci Jakuba, o których wcześniej nie wiedziałem. Urodziły się już w Polsce, ale nie w Łodzi. Okazuje się, że rodzina po przybyciu do Polski osiedliła się najpierw pod Łodzią, a dopiero kilka lat później przeprowadziła się do kielkującego wciąż miasta. To były czasy kiedy nasze miasto liczyło około 15 tysięcy mieszkańców. Wciąż jednak nie wiedziałem skąd przybyli... Ale w aktach urodzeń dzieci Jakuba widniała nazwa miasta, która przypominała Baden-Baden Jak się okazało nazwę źle odcyfrowałem, ale to było impulsem do wznowienia poszukiwań. I udało się. Tak po prostu, ale przez przypadek! Okazuje się, że po przybyciu do Łodzi nazwisko rodziny zmieniło trochę pisownie, dlatego nie udawało się ich wcześniej znaleźć, dlatego Archiwum w Karlsruhe nic nie znalazło. Teraz mam kilkadziesiąt dokumentów czekających na przetłumaczenie i odkrycie szczegółów tej historii...

.....

Drogi Jakubie,

w 1839 roku dałem wymagane prawem ogłoszenie do gazety w Karlsruhe. Standardowy tekst brzmiał: „Wyjeżdżam z rodziną do Polski, każdy, komu jestem coś winien, powinien zgłosić się do urzędu. Po moim wyjeździe wszelkie roszczenia pozostaną bezskuteczne”. W małej wsi w północnym Schwarzwaldzie gdzie mieszkaliśmy, pożegnałem się z rodzicami, rodzeństwem i przyjaciółmi. Moja żona i kilkuletnie dzieci były już gotowe do długiej podróży. Przyjechaliśmy do Polski w 1839 i osiedliśmy jako rolnicy we wsi na zachód od Łodzi. Już po roku urodziło się

nam kolejne dziecko, potem następne. Kilka lat później przenieśliśmy się do nowego miasta Łodzi. Trzy lata przed śmiercią poznałem swojego wnuka, a Twojego pradziadka Teodora. To było pierwsze pokolenie naszej rodziny, urodzone w wielokulturowym mieście Łodzi.

Ja byłem prostym woźnicą, mój syn Antoni sukiennikiem w fabryce, wnuk, a Twój pradziadek Teodor – majstrem u Geyera. Jego syn, a Twój dziadek Aleksander był współtwórcą łódzkiego krwiodawstwa, społecznikiem Polskiego Czerwonego Krzyża, sędzią kolarskim, hokejowym i bokserskim oraz zapalonym fotografem-amatorem. A Twój ojciec... swojego ojca przecież znasz. Wychował się na Grembachu w ubogiej rodzinie, w domu z modrzewia, który wybudował jego drugi dziadek. Dom ma już ponad 100 lat, a wciąż tam stoi. Teraz to radny naszego miasta. A Ty... znalazłeś mnie i przypomniałeś naszą historię, bo profesjonalnie zajmujesz się „Internetem”. Cokolwiek to jest.

Cieszę się, że nas odnalazłeś... Życzę Wam i Naszemu Miastu powodzenia !

Piotr Mec

Jak dziadek przestał być myśliwym

Dziadek mój był zagorzałym myśliwym. Urodził się w Warszawie, lecz wojenne losy osadziły rodzinę w 45. roku w Łodzi. W latach pięćdziesiątych wstąpił do Polskiego Związku Łowieckiego i polował namiętnie w naszym okręgu. Myślę po latach, że bardziej zależało mu na dobrej zabawie z bronią (kule sam wyrabiał), niż na samym polowaniu. Zawsze w domu dziadków było mnóstwo karabinów i przeróżnych rusznikarskich precjozów. Pięknych miarek do prochu, czernideł do broni, przebitek filcowych, śrutu różnej grubości oraz wszystkich innych przydanych dla małego chłopca zabawek. Mieszkanie dziadków było wówczas niewielkie i gdy zostawałem pod opieką dziadków, mogłem siedzieć na wersalce i bawić się karabinami. Oczywiście do czasu. Gdy połamałem angielskiego Bock'a prześlicznej urody. Nie miałem więcej niż 5 lat, ale niefortunny upadek karabinu z wersalki położył kres rzeźbionej kolbie. Od tego czasu mogłem bawić się karabinami wyłącznie pod opieką dziadka i na podłodze. Podobno byłem „niszczycielem” ponieważ czego dotknąłem, stawało się bezużyteczne. Rodzice też byli tego zdania.

Najważniejszym karabinem w kolekcji dziadka był sztucer Magnum, odkupiony od pewnego zagranicznego myśliwego, polującego w owych czasach na słonie w Afryce i odwiedzającego sporadycznie nasz kraj. Sztucer ten, dziad mój darzył bezgranicznym uwielbieniem i był on jego oczkiem w głowie. Chodziło o to, że karabin miał niesamowitą siłę przebicia, donośność i zaopatrzony był w lunetę wielkiej jasności. Dziadek przed wojną będąc strzelcem wyborowym, cenił bardzo te cechy. Jak je sprawdzał w praktyce, jest to opowieść na inną okazję.

Każdy w rodzinie wiedział jak piękna i precyzyjna jest to broń. Każdy musiał wysłuchać opowiadań o jej zaletach. Wybrańcy byli zapraszani na popisy niezawodności dziadka strzałów, a rzeczywiście był mistrzem nie lada. Koniec końców rodzina unikała jak ognia tematów myśliwskich i chyłkiem zmykała, gdy zaczynał kolejne opowieści.

Pewnego pięknego dnia, mąż mojej ukochanej cici przybył do dziadków, aby oznajmić, że córki ich już nie kocha i odchodzi z lepszą kobietą, poznaną jakiś czas temu. Pomimo tak częstych opowiadań o polowaniach, a nawet uczestnictwie w dziadkowych popisach strzeleckich, nicpoń ten nie ruszył głową iż nie oznajmia się takich wieści w mieszkaniu, gdzie prochu jest więcej niż mąki. Dziad mój wstrząśnięty wypowiedzią nie wyrzekł słowa, a jedynie skierował się do szafy, skąd wyjął pięknie pocerniony sztucer. Gdy to niecny zięć zobaczył, świadomość rychłej zguby dotarła do niego jak grom. Ponieważ mieszkanie było wysoko w kamienicy na drugim piętrze, nie mógł udać się na zewnątrz przez okno. Pobiegnął więc po schodach, pokonując je

rączo całymi pólpiętami. Nigdy wcześniej ani później nie wykazywał się on taką tężyzną fizyczną i równowagą. Dziad mój niespiesznie załadował karabin, a następnie oddał kilka strzałów z okna za biegnącym, aby dodać uciekinierowi animuszu. Po tej czynności założył buty i udał się w pogoń.

Zważywszy, że naród mamy krewki, a historia mogła się dziać gdzieś w lesie lub na głębokich przedmieściach, mogło w niej nie być nic ciekawego. Jednak sceny te rozgrywały się na naszych śródmiejskich ulicach Nawrot, Sienkiewicza, Roosevelta i Piotrkowskiej. Dziadek przepędził swego niewiernego zięcia kilkakrotnie wspomnianymi ulicami, nie dając się ukryć w żadnej bramie zawsze celnym strzałem pod nogi. Po niedługim czasie, harcom tym stanęła naprzeciw nasza władza. Dwóch milicjantów stanęło naprzeciw dziadka zabraniając dobrej zabawy. Myśliwy ulitował się nad nimi i ich rozbroił, a następnie pod bronią odprowadził na komisariat byłego zięcia i przedstawicieli władzy. Na komisariacie uciechy było wiele, gdy się okazało, że obaj milicjanci oraz zięć spodnie mają do prania.

Takim to sposobem dziadek trafił do pudła na pół roku. Tylko na pół, bo wszyscy przesłuchiwani myśliwi twierdzili, że pierwszy strzał dziadka powinien położyć trupem zbiega. Milicjanci dostali po piórach za słaby opór przy rozbajaniu. Karabiny trafiły do milicyjnej przechowalni, gdzie w tajemniczych okolicznościach zaginęły. Koledzy z klubu śpiewali pieśni pochwalne o przygodzie dziadka, jednak z Koła Łowieckiego został wykluczony.

Ja osobiście czerpałem korzyści z tego zajścia, bowiem wyżeł dziadków – **Dianka** – trafił do nas na pół roku i nareszcie miałem swojego psa.

W późniejszym czasie dziadek został wędkarzem. A jakie ryby łowił! A jaki sprzęt posiadał!

Maryla Rynk

Kolory moich wspomnień z dzieciństwa

BŁĘKITNY

Wiosna z warstwą śniegu na drodze. Budzę się leżąc w saniach, a jadę na święta z rodziną do Babci.

Trasa: Glinnik-Swędów. Niebo jest ogromnie i ogromnie wysoko i niebieskie z najpiękniejszym błękitem, po którym majestatycznie płyną: bociany !

Miasto Łódź zostało daleko za nami.

ŻÓŁTY

Już po świętach. Na wsi: za oknem, które wychodziło na piaszczystą drogę, od której ściele się ogromna przestrzeń złota. To żółte pole nie ma końca! Oczy bolą, pieką zaczerwienione policzki, bo to promienne słońce tak rozpala ten blask złocisty.

Okna zasłaniają. Nie wolno patrzeć, bo chora na odrę dziewczynka może stracić wzrok. Ten niezwykle widok tworzy bujnie rosnący łubin i zostaje na długo pod powiekami!

Co będzie teraz, bo to jeszcze jest późna wiosna i nie okres wakacji.

Obok łubinowego pola jest droga wiodąca do szkoły! Do wolnej szkoły można iść!!

Już czeka w kącie pokoju tornister z żółtej tektury.

W czasie wojny nie wolno było uczyć się dzieciom.

Zabroniona szkoła była w łódzkim pokoju na piętrze drewnianego widzewskiego domu.

Krzesło z płaskim siedzeniem, przy nim na niskim stołeczku mała uczennica stawia pierwsze literki pod okiem starszej córki sąsiadki. Mama się włączała i uczyła rachunków. Po szkolnych zajęciach sami robiliśmy zabawki ulepione z gliny znalezionej na polu przy ulicy Widzewskiej i pomalowane wodną farbą. To były domki i mebelki a lalki wycinaliśmy z papieru.

ZIELONY

Wróciło zdrowie i zaczęła się nauka. Wędrowałam z koleżanką Stasią wśród zielonych pól, przez łąkę wzdłuż rzeki Moszczenicy do budynku z czerwonej cegły stojącego na skrzyżowaniu dróg w Swędowie. Wokół budynku był zielony ogród.

W klasie były wszystkie roczniki od nas najmłodszych do dorosłych „pod wąsem” młodych mężczyzn. Dla każdego cierpliwy pan nauczyciel (Gulej) wypisywał zadania na tablicy, tłumaczył, poprawiał błędy.

Po lekcjach powrót przez zieloną łąkę i po drodze u babci na podwieczorek był rarytas: chlebek z białym serem ze śmietaną i zielonym szczypiorkiem!

Wracając ze szkoły po drodze odrabialiśmy ze Stasią lekcje leżąc na brzuchach na trawie a stolikiem był żółty tornister.

CZERWONY

Pod koniec jesieni powrót do miasta. Brakowało wielu rzeczy a szczególnie ubrań. Letnią sukienkę uszyła mi moja mama z czerwonej flagi poniemieckiej i ozdobiła ją białą tasiemką. Był to ładny ubiór i chodziłam w nim po domach prosić o darowizny książek dla szkoły zgodnie z poleceniem jej kierownictwa.. Z tych zbiorów chętnie darowanych zaczęła powstawać biblioteka szkolna. Szkoła ta to nr 37 „na górce” przy ul. Rokicińskiej. Było to duże gmazysko piętrowe a biblioteka była usytuowana w suterenie od strony podwórka z boiskiem.

Tam zaczęła się moja przygoda z książką. Zaraz po lekcjach chodziłam do biblioteki i tylko na miejscu czytałam różne książki, bo do domu jeszcze nie można było wypożyczać. Spędzałam tam wiele godzin czytając przepiękne książki stosownie do mojego wieku a wybierała mi je pani bibliotekarka. Dużo się nauczyłam. Pamiętam moje pierwsze wypracowanie (na piątkę) z języka polskiego na temat choinki. Opisałam ją jak rosła wśród innych drzew wśród zmieniających pór roku i dnia a najbardziej lubiła czerwone zachody słońca. Potem jak ją ścięto i potem sprzedano i ubierano w czerwone bombki, bo te wydawały się najpiękniejsze.

W moim domu rodzinnym był też zwyczaj głośnego czytania książek wieczorami i jak byłam starsza, to również się włączałam.

Ten sposób spędzania wolnego czasu pozostał do dnia dzisiejszego.

Piękno ojczystego języka czerpane przeważnie z utworów klasyków polskich, kształtowały moją wyobraźnię oraz poczucie piękna w otaczającym mnie świecie przyrody i ludzi.

Poczucie dobra wynikało jakby z tego samego, z samej istoty tych wrażeń. To owocowało w życiu dorosłym w przeżywaniu i stosunku do krzywd i nieuczciwości,

których wiele doznawałam od ludzi przebiegłych egoistów. Pozwalało spokojnie traktować niepowodzenia bez chęci odwetu.

Spotkałam też wielu ludzi wartościowych i dobrych, życzliwych i mam przyjaciół do chwili obecnej. Wspieramy się wzajemnie.

Robin Siegwarth

Siegwarth / Zyggward w Łodzi

Od bez mała dziesięciu lat zmierzam po śladach, które z biegiem czasu pozostawiła w historii moja rodzina. Jeszcze rok temu nie wpadłoby mi nawet na myśl, że wezmę udział w realizacji Państwa projektu, który ma przedstawić historię miasta i ludzi żyjących w Łodzi.

Nazywam się Robin Siegwarth, mieszkam w pobliżu Karlsruhe w Niemczech, niedaleko małego osiedla Mittelberg, gdzie około roku 1690 znajdowała się huta szkła, w której mój praprapraprapradziadek był zatrudniony jako formowacz wyrobów szklanych. Siegwarthowie (pisownia tego nazwiska zmieniała się często na przestrzeni minionych stuleci, w zależności od sposobu jego zapisywania przez poszczególnych duchownych prowadzących księgi parafialne) wywodzili się pierwotnie z głębokiego Schwarzwald, gdzie byli zatrudniani na zlecenie poszczególnych klasztorów w celu urbanizowania obszarów leśnych w Schwarzwaldzie, przy udziale będących w ich posiadaniu hut szkła wykarczowane zostały wielkie powierzchnie leśne, przekształcone następnie w pola uprawne, a z zysków uzyskanych ze sprzedaży hut szkła płacono z kolei należne podatki. Tych hut szkła było bardzo wiele, a ponieważ naturalny surowiec – drewno – pozostawał do dyspozycji tylko w ograniczonym wymiarze, huty szkła przeniosły się po pewnym czasie dalej, tańsze było przeniesienie produkcji niż dowożenie surowca. Między innymi z tego powodu na początku lat 1770 także huta szkła w Mittelbergu została tam zamknięta, a członkowie rodziny zostali zmuszeni do podążenia za nią lub do zarabiania w inny sposób na swój chleb codzienny.

Taki był również los Cyriaka Sigwartha, który urodził się w roku 1795 w Moosbronn jako syn Fanza Jakoba Sigwartha i Anny Marii Schoch. Pracował on w Moosbronn jako gwoździarz, czyli kowal wytwarzający gwoździe, i parając się tym zajęciem z trudem utrzymywał swoją rodzinę. Ponieważ w tym czasie utrzymanie rodziny nie było łatwe, wielu mieszkańców pozostawiało jałowe grunty i szukało swego szczęścia gdzie indziej, niektórzy wyjeżdżali do Anglii, a inni udali się do nowego świata. Cyriak i jego rodzina (wraz z nim jego druga żona Anna Maria Thoma, z którą ożenił się w Moosbronn w północnym Schwarzwaldzie w roku 1838, oraz jego dzieci Magdalena, Nikolaus, Bernhard i Josef) ulegli zachętom przekazywanym rodzinom przez tych, którzy wyjechali już przed nimi do krajów wschodnich.

W księgach parafialnych z Moosbronn, z którymi zapoznałem się w trakcie moich badań losów przodków, w odniesieniu do tej rodziny znalazła się tylko wzmianka, że przeniosła się ona do Europy Wschodniej i tam wygasła.

I w tym miejscu historia by się właściwie zakończyła.

Dzięki bardzo dobrej pracy polskich archiwów oraz wielu pomocników zaangażowanych z własnej woli, pracujących w ramach GENETKA na bieżąco nad transkrypcją i rejestrowaniem polskich ksiąg parafialnych, mogłem w końcu odnaleźć rodzinę w Łodzi.

Tam właśnie osiadła moja rodzina, w roku 1844 udokumentowany jest zapis kościelny o małżeństwie Magdaleny Sigwarth – córki tej rodziny – i Piotra Schmidta w Mikołajewicach. Nazwisko rodziny zmieniło się w międzyczasie na Zyguard, co stanowi prawdopodobnie polską wersję zapisu tego nazwiska. Rodziny rosły i rozwijały się, odpowiednio do tego również moja rodzina coraz bardziej się rozrastała, punktem centralnym pozostawała jednak zawsze Łódź. Moje śledzenie zapisów zawartych w księgach parafialnych pozwoliło na stwierdzenie, że członkowie tej rodziny trudnili się najczęściej rolnictwem. Nieco nowszy zapis odnalazłem przy pomocy archiwum w Łodzi, Ryszard Zyguard miał tam sklep spożywczy, na początku lat 1930-tych zamieszczono tam ogłoszenie o sprzedaży mieszkania ze sklepem, i tutaj właśnie można z pewnością odnaleźć więcej informacji.

Życie Cyriaka Sigwartha zakończyło się ostatecznie w roku 1850 w Mikołajewicach, gdzie zmarł i został pochowany.

Z powodu ochrony danych osobowych większość dokumentujących zapisów dotyczących badań nad losami mojej rodziny kończy się około roku 1915. Obiecujący jest jednak nawiązany ostatnio przypadkiem kontakt z Jakubem Hubertem, który także zajmuje się badaniem losów rodziny, która wyemigrowała do Polski z północnego Schwarzwaldu. Być może ten ślad pozwoli w przyszłości uzyskać kolejne informacje, a być może i ja będę również dla niego trochę pomocny w poszukiwaniach prowadzonych przez niego tutaj w północnym Schwarzwaldzie.

I dlatego bardzo bym się cieszył, gdyby czytający tę informację nawiązali ze mną kontakt, jeżeli dotrą do nich wzmianki o historii lub znajomości faktów dotyczących rodziny Sigwarth/Zyguard/Sygward w Łodzi i okolicach Łodzi, z pewnością jest jeszcze wiele nieznanych okoliczności, Łódź i Siegwarthowie, ta historia będzie jeszcze pisana dalej.

Cała rodzina Siegwarth życzy Miastu i jego mieszkańcom spokojnej i interesującej przyszłości.

Pozdrowienia z północnego Schwarzwaldu

Robin Siegwarth

(Przekład z języka niemieckiego Biuro Tłumaczy Przysięgłych „Mentor”)

Magdalena Walczak

Moja Piotrkowska

Bardzo się ucieszyłam z wiadomości o planie spisania żywej kroniki Łodzi. Co za świetny pomysł na zachowanie wspomnień o Łodzi! Od razu wiedziałam, że chcę przesłać relację na temat "mojej Piotrkowskiej".

Pierwsze wspomnienia z dzieciństwa kojarzą mi się z pokojem w naszym domu przy ul. Piotrkowskiej 184. Jak dziś widzę ten ogromny żyrandol z pięknie rzeźbionymi elementami, które przypominały mi roztańczone smoki.

Później był widok z wykusza na ulicę Piotrkowską, tramwaje, pochody pierwszomajowe, a przede wszystkim na neon sklepu zabawkowego. Ten neon z prostym napisem zabawki, na szczycie którego siedział pajacyk, hipnotyzował moją dziecięcą wyobraźnię każdego dnia. Sklep zabawowy z tym niesamowitym asortymentem nowych, pachnących zabawek był moim szczytem marzeń.

Opodal, na rogu Głównej (teraz Piłsudskiego) i Piotrkowskiej był sklep Wawela z najlepszymi czekoladkami świata. Po drugiej stronie Głównej sprzedawali lody włoskie za 1 złotówkę. Moje pierwsze samodzielne kroki po mieście właśnie tam były skierowane.

Muszę też wspomnieć księgarnie po schodkach po drugiej stronie Piotrkowskiej, ponieważ ona do dzisiaj istnieje i cieszy wspaniałym wyborem książek, kalendarzy i przyborów do pisania (te Ballografy!!!).

Rok 1974, nasza rodzina zostaje wywłaszczona i eksmitowana z domu na Piotrkowskiej. Wszyscy przeprowadzają się w różne strony Łodzi. Pamiętam tę wielką przeprowadzkę i mój smutek, że już nigdy nie będę mogła odwiedzać zakamarów naszego domu i ogrodu z tyłu domu. Musiałam też pożegnać się z pajacykiem ze sklepu zabawkowego.

Piotrkowska nadal tętniła życiem i ja wracałam często już jako nastolatka, aby połączyć po sklepach, które były przeważnie puste. Księgarnie zawsze ratowały sytuację, bo książki czasem można było znaleźć.

Celem spacerów zawsze był dom rodzinny, który się chodziło obejrzeć z zewnątrz. Lata mijają, otwiera się Hortex, mama mnie zabiera na Melbę z bitą śmietaną z okazji dostania się do liceum.

Stawiam sobie galante lody z okazji dostania się na studia. Oczywiście na Piotrkowskiej. Nigdy nie pomyślałabym o innym miejscu godnym takiej celebracji.

Zaczynam studia, nowe życie, często bywam w Grandce na kawie. Przychodzę tu moim przyszłym mężem, często też spotykam się tu z mamą. Ile planów i decyzji życiowych tu dyskutowaliśmy!

Naturalnie ślubne przyjęcie zorganizowaliśmy na naszej Pietrynce!

Po latach wracam znowu na Piotrkowską, tym razem z dumą pokazując wszystkie ukochane miejsca naszym dzieciom. Nasza ulica jest piękna, elegancka, ale już nie ta sama co za czasów pajacyka ze sklepu zabawkowego.

Wreszcie po latach, odważam się wejść do mojego Domu. Został siedzibą banku. Nie ma już tych pokoi, gdzie szalałyśmy z siostrą, gdzie choinka świeciła mnóstwem wesołych świeczek i zwiastowała przyjście Świętego Mikołaja z prezentami. Stoją tu teraz kasy, biurka, regały... Nawet nie ma już tego starego zamka z kluczem, który wyglądał jak skrzydła anioła.

Jednak duch naszego miasta jest obecny w starych kamienicach, ulicach, a przede wszystkim w nas, prawdziwych Łodzianach, zawsze dumnych z naszego kochanego miasta, bo drugiego takiego nie ma na całym świecie!

Zawszę będę tu wracać, odwiedzać moją Piotrkowską z tym naszym kochanym Domem. Będę wspominać tą dziewczynkę, która podziwiała neon sklepu zabawkowego.

Magdalena Walczak, MD;

Mill Creek, WA, USA

